

KORRESPONDENT WARSZAWSKI

nr 8

czerwiec 2022

korrespondent.pl



Wakacje. Czas na plażę!

Wiosna już uraczyła nas pierwszymi w tym roku ciepłymi nocami, wkrótce oficjalnie nastanie lato, a wraz z ucichnięciem dzwonek szkolnych zaczną się długo wyczekiwane wakacje. A jeśli wakacje, to i plażowanie.

Czy plaże mogą się stać symbolem wypoczynku w Warszawie?

Mysząc o plażach, większość z początku wyobraża sobie morski brzeg i fale rozbijające się o drobny piasek. Po chwili refleksji obraz mentalny uzupełniają nasze narodowe zwyczaje związane z plażowaniem, objawiające się w formie kunsztownie zdobionych parawanów grodzących poletka nadbałtyckiej szlachty sezonowej. U niektórych pamięć może jeszcze podsuwać zamglone wizje z czasów przed pandemią, gdy podróżowali po zagranicznych kurortach. Po otwarciu oczu pozostaje nam słodko-gorzkie wrażenie. Niby plaża to wakacje, a wakacje to odpoczynek, ale z drugiej strony nie zawsze są to rajskie plaże, często też nie bezludne, a na dodatek w rzeczywistości, w której inflacja niczym kornik wyjada nam miąższ z portfela, podróż do nich staje się luksusem, który może przerastać nasze możliwości. Wtenczas warto spojrzeć na herb Warszawy i uświadomić sobie, że widniejąca na syrenie jest zwierzęciem wodnym, a to znaczy, że w Warszawie pewnie też jest jakaś woda i do tego nie mała, gdyż po rozmiarze syreny należy sądzić, że sadzawka nie wystarczy jej za żerowisko. Taka refleksja prostą drogą poprowadzi nasze myśli do tego, że Warszawa leży nad Wisłą i szczęśliwie rzeka ta, największa w Polsce, w swoim środkowym biegu nie jest zabetonowana i obfituje w plaże.

Fakt ten z początku może wydawać się zaskakujący, ale gdy spojrzeć na historię naszego miasta oraz wypoczynkowe preferencje jej mieszkańców, przekonamy się, że plażowanie w stolicy ma długą historię i ongiś należało do codzienności. Warszawskie plaże już od paru lat zyskują coraz większą popularność, stając się ulubionymi miejscami spotkań młodzieży. Plażowanie nad Wisłą popularne stało się jeszcze w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Archiwalne fotografie pokazują, jak licznie warszawiaczy przybywali nad rzekę. Wtedy także bardzo chętnie kąpano się w Wiśle, a dla wygody plażujących budowane były drewniane przebieralnie czy wręcz pływające kąpieliska z pomostami. Na początku drugiej połowy XX wieku plaże nadal były popularne, a ich liczba na terenie miasta oscylowała w okolicach 10, przy czym kilka było nawet płatnych. Niestety wraz z rozwojem przemysłu ciężkiego i chemicznego oraz rozbudową elektrociepłowni atrakcyjność wód Wisły zaczęła spadać, więc i plażowanie zaczęło być ograniczane, w związku z czym od lat 70. odpoczynek nad rzeką stawał się coraz mniej popularny. Warszawa zaczęła zapominać, że nad Wisłą można wypoczywać.

Wraz ze zmianą stroju i zbliżającym się końcem XX wieku rozpoczął się proces ponownego przyłączania Wisły do miasta. Niektórzy myślą, że proces ten zaczął się dopiero niedawno, w drugiej dekadzie XXI wieku. Prawda jest jednak taka, że już 1993 roku, gdy ogłoszono konkurs na projekt nowego gmachu Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, zaczęto poważnie myśleć o procesie, który z powrotem sprowadzi nas nad wodę. Kolejnym takim krokiem było wybudowanie niskowodnego mostu Świętokrzyskiego, który bez dodatkowych wiaduktów połączył dwa brzegi zachęcając pieszych i rowerzystów do przeprawy. Tunel Wisłostrady przeniósł odstręczający ruch samochodowy pod ziemię, a Centrum Nauki Kopernik dało tym terenom mocny punkt na turystycznej mapie miasta. Umocnione bulwary wiślane lewej strony zaczęły się intensywnie rozwijać i stawać się wizytówką nowego, modnego Powiśla.

Skoro już mieszkańcy Warszawy zaczęli wracać nad Wisłę, zaczęły także odżywać pragnienia spędzenia chwil nad rzeką, na syrkim podłożu, nie tylko na betonowych schodach. Wtedy błyskawicznie swoje atuty ujawnił praski, dziki brzeg. Nadwiślańskie lasy łęgowe okazały się wspaniałym miejscem na spacer, do obserwacji licznej tutaj awifauny, a piasz-

zyste brzegi i łachy przypominały plażową historię miasta. Wskrzeszone zostały miejsca wypoczynku z przeszłości i tak pojawiły się obecnie bardzo popularne plaże. W centrum po prawej stronie Wisły idąc od południa, trafimy najpierw na plażę Saską, która będąc na wysokości mostu Łazienkowskiego, nawiązuje tradycjami do plaży, która znajdowała się tutaj jeszcze w końcu lat 70.

Kolejna jest najpopularniejsza Poniałowska, nazwana tak od pobliskiego mostu Poniałowskiego. To tutaj w 2014 roku powstał pawilon plażowy z zapleczem sanitarnym i kawiarnią. Pawilon ten ma jednak zmienne szczęście. Wysokie koszty budowy były powodem nadawania mu niepochlebnych imion, a problemy z najemcami sprawiały, że kawiarnia często była zamknięta. W ostatnich sezonach rezydował tutaj MOSiR Poranki i Wieczory (skrótów nie należy mylić ze sportem i rekreacją, gdyż oznaczał on Miejski Ośrodek Spotkań i Relaksu). Idąc dalej, wzdłuż Wisły na północ, na wysokości parku Praskiego i ogrodu zoologicznego trafimy na plażę Rusalka, znaną z klubu La Playa oraz parku linowego.

Dokończenie na s. 2

Wakacje. Czas na plażę!

Z plaż tych możemy podziwiać panoramę lewego brzegu oraz słońce zachodzące za sylwetą Starego Miasta.

Wszystkie wymienione plaże tworzące praską plażową wielką trójkę są połączone z lewym brzegiem sezonowymi, bezpłatnymi liniami promowymi obsługiwanymi w ramach systemu Warszawskiego Transportu Publicznego. Prom „Słonka” pływa pomiędzy Saską a Cyplem Czerniakowskim, „Pliszka” zabierze nas z Poniatówki na bulwary, a „Wilga” od Rusałki wprost na podzamcze do Parku Fontann. Promy płyną od początku maja do 25 września w każdy weekend, a w lipcu i sierpniu – codziennie. Gdyby ktoś bał się przekraczać Wisłę i szukał piasku po jej lewej stronie, warto wspomnieć, że bli-

sko centrum może go znaleźć przy płycie Desantu 3 Dywizji Piechoty, nieopodal Portu Czerniakowskiego.

Wszystkie wymienione miejsca to plaże miejskie ze wszystkimi tego wadami i zaletami. Jest tam często tłoczno i głośno, ale za to są blisko i mają swój klimat. Plaże te zdobyły uznanie w oczach zagranicznej prasy. „The Guardian” umieścił Warszawę wśród 10 europejskich miast o najatrakcyjniejszych piaskach nad rzekami. Wisła ma jednak także do zaoferowania wiele ciekawsze przyrodniczo, a także o wiele spokojniejsze i bliższe naturze plaże. Idąc w górę rzeki, na południe od centrum miasta, w obszarze dzielnicy Wilanów możemy dotrzeć do malowniczych plaż Zawad i Kępy Zawadowskiej oraz rezerwatu

**W dzielnicy Wilanów
możemy dotrzeć
do malowniczych
plaż Zawad
i Kępy Zawadowskiej
oraz rezerwatu
Wyspy Zawadowskie.
Cały obszar pomiędzy
Wałem Zawadowskim
a rzeką jest połączeniem
plaż, łągów i łąk zalewowych.
Jest to świetne
miejsce na spacer,
odpoczynek
czy wycieczkę rowerową.**

Wyspy Zawadowskie. Zawady są jednym ze znanych miejsc wypoczynku zwolenników opalania bliskiego naturze, w którym tekstyla nie ograniczają produkcji witaminy D. Cały obszar pomiędzy Wałem Zawadowskim a rzeką jest połączeniem plaż, łągów i łąk zalewowych. Jest to świetne miejsce na spacer, odpoczynek czy wycieczkę rowerową. Z tego też miejsca dostrzeżemy po drugiej stronie rzeki, w dzielnicy Wawer, oficjalną miejską plażę, która przeszła w zeszłym roku renowację i wchodzi w sezon 2022 z tytułem najbardziej urokliwej w stolicy. Mowa o plaży Romantycznej znajdującej się przy ulicy o tej samej nazwie. W czasie renowacji zarząd zieleni posadził tutaj ponad 350 drzew i 1200 krzewów. Teren plaży łączy część piaszczystą z zielenią i bujną murawą, a umocnienie brzegu tworzy niezwykle punkt widokowy. Miejmy nadzieję, że to nie ostatnia taka inwestycja w Warszawie.

Na koniec pozostaje mi życzyć wszystkim, aby nadchodzące wakacje obfitowały w romantyczne chwile nie tylko nad Wisłą, a warszawska zieleń była miejscem wytchnienia i zasłużonego wypoczynku.

**TEKST: MICHAŁ CHILIŃSKI
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK**

Szanowne Czytelniczki, Szanowni Czytelnicy!

Warszawa powoli się rozgrzewa. Nieśmiało nadchodzi lato, coraz więcej osób plażuje w warszawskich parkach i na stołecznych plażach. Zaczyna się lato radosne, choć to radość nieoczywista. Od ponad trzech miesięcy nasi sąsiedzi są w stanie wojny. Dzień za dniem śledzimy informację, dowiadujemy się, czy nasi przyjaciele są bezpieczni. Na początku myślałam, że to zajmie kilka tygodni. Dziś czuję, że ta wojna potrwa lata. Są dni, kiedy ogarnia mnie smutek i rezygnacja. Boję się, nie wiem, jak dalej działać, jak realnie pomagać. Czuję też, że w tej pomocy trzeba bardzo o siebie dbać, ustalać własne granice, aby móc być obecnym bardziej efektywnie. Mam wrażenie, że świat, który znałam, zmienił się bezpowrotnie. Jeszcze nie wiem, czy to dobry kierunek, ale mam poczucie, że krok w tył nie jest już możliwy. Dlatego też tak bardzo doceniam teksty, które pojawiły się w tym numerze. Krytyczne, ale też pełne wiary, humoru, odważne. Wierzę, że to właśnie mądre słowo ma dziś największą moc. Chcę także Wam przekazać ważną informację. W lipcu i sierpniu udajemy się na „papierowe” wakacje. Warszawa wyjedzie na odpoczynek, ale my pozostaniemy z wami w wersji elektronicznej (www.korrespondent.pl). Dobrego odpoczynku i zostajemy w kontakcie.

**Redaktor naczelna
BOGNA KIETLIŃSKA**



**W trosce
o środowisko naturalne
Korrespondent Warszawski
wydawany jest na papierze
pochodzącym z odzysku.**

DR BOGNA KIETLIŃSKA
Redaktor naczelna

ZBIGNIEW MENTZEL
Opieka merytoryczna

KAROL GÓRSKI
Lifestyle

KAROLINA MOŁSKA
Sprawy społeczne

HUBERT ZARZYCKI
Społeczeństwo

KAMILA SNOPEK
OKTAWIA WRZESIEŃ
Kultura

KONRAD RYSZARD WYSOCKI
Seksualność

ANNA SUSKA
Obywatelskość

MICHAŁ CHILIŃSKI
Varsavianistyka

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ
Praga

JAN GOLIŃSKI
Miasta i regiony

BARTEK WÓJCIK
Historia

FILIP PYŚNIAK
Sport

MARTYNA PACHOLAK
Felieton

MONIKA MIŁOSZ
Zdrowie

JAKUB SZCZUDŁOWSKI
Korespondencje zagraniczne

ALEKSANDRA ZALEWSKA-KRÓLAK
Dzieci

PAULINA UHLIG
MARIA BYKOWSKA
MARIA WYSOCKA
LUCY KUDŁA
Młodzieżowy Strajk Klimatyczny

ANTONI KOSTRZEWA
Architektura

FILIP JEGLIŃSKI
Korzenie i żyły miasta

KATARZYNA BUSŁOWSKA
Korekta

KAMILA KRUPIŃSKA
Sekretarz

ALEKSANDRA OŁDAK
Ilustracje

ALEKSANDRA PAPUGA
Biuro

KONTAKT

redakcja@korrespondent.pl
korrespondent.pl



**KORRESPONDENT
WARSZAWSKI**

WYDAWCA

BAZAR
WARSZAWSKI

Wiktor Jasionowski
Klecewska 44/3 01-826 Warszawa



Wielość władz racją stanu

PiS, który odwołuje się do międzywojennej sanacji, powiela coraz więcej autorytarnych zachowań swoich poprzedników. Delikty, naganianie zasad państwa prawa, ograniczanie praw jednostek przy jednoczesnej centralizacji władzy, prowadzenie nieuczciwych kampanii wyborczych, centralizacja gospodarki, oddziaływanie na stowarzyszenia i społeczeństwo obywatelskie czy wreszcie pomniejszanie kompetencji i roli samorządu terytorialnego. Kierunek – tyrania jednostki – został obrany już dawno.

Już liberalni konserwatyści, pokroju Johna Locke’a, dostrzegali konieczność podziału władzy i uznawali go za podstawę przeciwdziałania tyranii i monowładzy. Dziś kontynuujemy myśl naszych ideowych protoplastów. Liderzy demokratycznej opozycji podpisali deklarację samorządową, gwarantującą najmniejszym ośrodkom władzy niezależność, podtrzymując przy tym kierunek wytyczony przez Konstytucję RP – decentralizację.

LIBERALIZM W CIENIU DOWOLNYCH FANABERII

W tym celu coraz częściej myśl liberalna sprowadzana jest wyłącznie do kwestii swobód (nie praw) jednostki, a PiS-owska propaganda puszcza filmy, które mają widzowi sugerować, że liberalizm to rozpusta w biały dzień i dowolność publicznych fanaberii. Na tym tle polityka komunikacyjna rządu stawia PiS ze swoimi licznymi wadami jako strażnika prawości i porządku, jednak nic bardziej mylnego. Łamanie praw, w tym konstytucji, jest przejawem anarchii, podobnie jak bezkarność urzędników (wybory kopertowe) i próba odebrania koncesji TVN-owi, która jest najlepszym przykładem nieprzestrzegania umów i zobowiązań. O anarchizacji życia społecznego poprzez wypowiadanie kompromisów społecznych już nie wspomnę. To my, liberałowie, podkreślając, że prawa chronią jednostkę, rodzinę, gminę i naród, stoimy na straży porządku społecznego.

KILER NA ZLECENIU SAMORZĄDU

Wszyscy oglądali „Kilera” i pamiętają pierwszą rzekomą ofiarę polskiej komedii – matematyczkę, którą miał on zlikwidować na zlecenie samorządu klasowego. Kim jest matematyczka – wiedzą wszyscy, kim jest samorząd klasowy – już nie bardzo. Samorząd najczęściej jest mylnie utożsamiany z jego przedstawicielstwem – czyli przewodniczącym klasy, szkoły; prezesem samorządu zawodowego lub w przypadku polityki – wójtem, burmistrzem, prezydentem. W rzeczywistości jednak wszyscy jesteśmy częścią samorządu – bo jest to ogół tworzony przez każdego z nas. W klasie są to wszyscy uczniowie, a w przypadku samorządu terytorialnego – wszyscy jego mieszkańcy. O tym, jaka może być siła samorządu, przekonuje się co chwila władza centralna, która jak każda tyrania nienawidzi sprzeciwu. Czasem jednak trafia na szafot lub jak nie lubiana matematyczka – spada w przepaść.

DEKLARACJA SAMORZĄDOWA

W miniony wtorek 25 maja liderzy polskiej demokratycznej opozycji podpisali deklarację samorządową. Wśród jej postulatów jest zapewnienie niezależności od władzy centralnej i stabilnego finansowania. Czytamy w niej ponadto: „Deklarujemy wsparcie istoty samorządu terytorialnego, jaką jest decentralizacja władzy publicznej oraz samodzielność wypływająca z zasady pomocniczości – samodzielność bazowana na jasnym rozdziale zadań, stabilnym i uczciwym finansowaniu, przewidywalności prawa oraz praworządności”. Polska to w końcu dwa i pół tysiąca gmin, blisko czterysta powiatów i szesnaście regionów. Każde z nich musi być silne, by Polska była silna, a potrzeby Polaków efektywnie zaspokajane.

**TEKST: WIKTOR JASIONOWSKI
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK**

Otwarcie sezonu w Dzielnicy Wisła

Otwarcie sezonu letniego nad Wisłą nastąpiło w weekend 21–22 maja. W tym roku wydarzenie zostało połączone z Dniem Różnorodności Kulturowej. Na wspólnej konferencji prasowej razem z prezydentem Warszawy Rafałem Trzaskowskim oraz dyrektorem koordynator ds. Zielonej Warszawy Magdaleną Młochowską dokonaliśmy inauguracji otwarcia sezonu letniego w Dzielnicy Wisła.

Wisła i nadwiślańskie brzegi są ulubionym miejscem mieszkańców Warszawy oraz odwiedzających stolicę turystów. Nad rzeką spotykają się całe rodziny, osoby starsze, młodzież, biegacze i rowerzyści. W ostatnich miesiącach w stolicy znala-

zło schronienie wiele osób z Ukrainy. Hasło „Wisła dla wszystkich”, promowane w ramach Dzielnicy Wisła, nabrało więc szerszego znaczenia.

Dzielnica Wisła to letnie serce Warszawy, gdzie każdy jest mile widziany. Obszar nad Wisłą to nie tylko plaże i ścieżki. Jest to nieformalna 19. dzielnica Warszawy. W tej przestrzeni każdy może poczuć tętniące życiem, zielone i odpowiadające na potrzeby mieszkańców miasto.

Jeżeli tylko macie trochę wolnego czasu, zapraszam nad Wisłę. Tu na pewno nie będziecie się nudzić. Miasto oferuje 335 bezpłatnych rejsów na mniejszych i większych jednostkach. Rejestracja odbywa się na stronie: rejsy.waw.pl. Od 1 maja na rzekę wróciły promy „Pliszka”, „Słonka” i „Wilga”. Dzielnica Wawer zaprasza na plażę Romantyczną, gdzie można przepłynąć na lewy brzeg drewnianą skutą „Inna Bajka”. ZTM planuje zaś przywrócić tramwaju wodnego. Za niewielką opłatą można też wybrać się statkiem do Serocka. 4 czerwca ruszyły plaże Żoliborz, Poniatówka i Saska Kępa.

Spędzając niezapomniane chwile w przepięknym otoczeniu pamiętajmy, że nad Wisłą to przyroda jest gospodarzem.

Dlatego prosimy mieszkańców i turystów o poszanowanie obszaru Natura 2000. Trzeba pamiętać, że właśnie ta dzika, nie całkiem uregulowana rzeka w sercu miasta jest jednym z największych skarbów Warszawy.

Po zniesieniu pandemii obowiązuje uchwała Rady m.st. Warszawy dopuszczająca spożywanie alkoholu nad Wisłą – na Bulwarach i na plaży Poniatówka po praskiej stronie Wisły. Uchwała odnośnie bulwarów została zaskarżona i NSA ją uchylił. Prezydent Rafał Trzaskowski złożył skargę kasacyjną od tego wyroku. Dopóki nie zostanie ona rozstrzygnięta, uchwała Rady m.st. Warszawy pozostaje w mocy. Można spożywać alkohol, ale szanując użytkowników tego pięknego miejsca i samo miejsce. Bo Wisła jest dla wszystkich.

Aktualności i kalendarz wydarzeń dostępne są na stronie: dzielnicawisla.um.warszawa.pl. Zapraszam nad Wisłę. Do letniej stolicy wolnego czasu i zieleni!

RENATA NIEWITECKA
Przewodnicząca Komisji Ochrony Środowiska m.st. Warszawy



Quo vadis, warszawski samorządzie?

Stolica, największe i najbogatsze miasto, kuźnia karier w biznesie i polityce, siedziba władz centralnych, miejsce, na które skierowana jest uwaga opinii publicznej całego kraju. A przy tym miasto na prawach powiatu, dostarczające swoim mieszkańcom usługi, podobnie jak prawie tysiąc innych polskich miast i miasteczek.

I właśnie na tym drugim, samorządowym obliczu Warszawy chcielibyśmy się skupić.

Działanie władz lokalnych reguluje wiele aktów prawnych, poczynając od ustawy o samorządzie gminnym z 1990 roku, przez ustawę o samorządzie powiatowym z 1998 roku, a skończywszy na specjalnej ustawie o ustroju miasta stołecznego Warszawy, zwanej też ustawą warszawską, z 2002 roku. Ta ostatnia wprost definiuje stołeczny charakter Warszawy, określając szereg zadań zleczanych przez administrację rządową, a związanych z zapewnieniem odpowiednich warunków do funkcjonowania w mieście naczelnych i centralnych organów państwa, przedstawicielstw dyplomatycznych i urzędów konsularnych oraz organizacji międzynarodowych, przyjmowania delegacji zagranicznych oraz funkcjonowania urzędów publicznych o charakterze infrastrukturalnym, mających znaczenie dla stołecznych funkcji miasta.

Prezydent gospodarz czy polityk?

Właśnie wspomniane stołeczne funkcje, których efektem jest przenikanie się światła wielkiej polityki z codziennością, z jaką muszą na co dzień mierzyć się prezydenci, burmistrzowie czy wójtowie wielu polskich miast i gmin, powodują, że pozycja włada-

rza Warszawy jest wyjątkowa. Pozycja, która – tak jak w przypadku Lecha Kaczyńskiego czy Rafała Trzaskowskiego – pozwala wziąć udział w grze o prezydenturę Polski. Styczność z wielką polityką, spotkania z akredytowanymi w Warszawie dyplomatami i przedstawicielami organizacji międzynarodowych powodują, że władze miasta czasem lubią zakładać „międzynarodowe buty”. Widać to doskonale na przykładzie prezydenta Trzaskowskiego, który świetnie, m.in. dzięki bardzo dobrej znajomości kilku języków obcych, odnajduje się na tzw. salinach, lubi komentować bieżącą politykę zagraniczną i wewnętrzną Polski, natomiast do tak przyziemnych spraw jak remonty dróg, wolne tempo przyjmowania planów miejscowych czy nieskuteczność straży miejskiej odnosi się niemal ze znużeniem. Na taką pozycję prezydenta wpływ ma również silny mandat uzyskiwany w wyborach powszechnych. Prezydenta Warszawy w zarządzaniu miastem wspierają zastępcy, najczęściej merytoryczni, wieloletni pracownicy samorządu, dla których wiceprezydentura jest czymś w rodzaju zwieńczenia kariery samorządowej, a także ogromny, liczący kilka tysięcy osób, aparat urzędniczy ulokowany w ponad 40 biurach urzędu miasta oraz licznych jednostkach budżetowych.

Maszynka do głosowania

Teoretycznie wpływ na rządzenie Warszawą mają miejscy radni i radne. Jest ich łącznie sześćdziesięcioro. Wybierani są w dziewięciu wielomandatowych okręgach wyborczych, których granice dobierane są w dość specyficzny sposób, często powodujący, że pewne dzielnice mają w radzie ograniczoną liczbę reprezentantów lub nie mają ich w ogóle – takim przykładem jest okręg składający się z Pragi-Północ i Białołęki. Druga z dzielnic jest dwukrotnie większa od Pragi pod względem liczby ludności, a tym samym aktywnych wyborców, co w praktyce oznacza, że niemal wszystkie mandaty wędrują do mieszkańców Białołęki. Dodajmy, że obie dzielnice mają zupełnie inne problemy i potrzeby (w przypadku Pragi jest to degradacja tkanki mieszkaniowej, w przypadku Białołęki – braki w infrastrukturze oświatowej, drogach, sieci kanalizacyjnej). Jeszcze lepszym przykładem jest okręg składający się z Wesołej, Wawra i... Targówka, które to dzielnice rozdziela Rembertów.

„Szyte na miarę” granice okręgów wyborczych plus premiująca duże formacje metoda d'Hondta stosowana do przeliczania uzyskanych w wyborach głosów na mandaty prowadzą w Warszawie do tego, że skład rady miasta w pełni oddaje duopol PO-PiS, w praktyce bez

szans na wprowadzenie reprezentantów innych formacji w wyborach (pewne zmiany zachodzą w trakcie kadencji). A że w Warszawie poza okresem prezydentury Lecha Kaczyńskiego Prawo i Sprawiedliwość było zawsze pod górą, nie może dziwić, że od lat w praktyce samodzielnie rządzi PO. Taka sytuacja, w której i prezydent i większość radnych są z jednej formacji, sprowadza de facto radę do roli maszyny do głosowania, o czym nieraz można się przekonać, przysłuchując się internetowym transmisjom z sesji. Niezależnie do tego, jakie byłyby postulaty PiS i radnych niezależnych, w 99 proc. głosowań górę biorą decyzje warszawskiego kierownictwa Platformy. A teoretycznie rada mogłaby dużo – w końcu to ona decyduje o warszawskim budżecie, a tym samym strukturze wydatków.

Dzielnice i osiedla

Oprócz reprezentantów na poziomie rady miasta warszawianki i warszawiacy mają swoich reprezentantów również na poziomie dzielnic, czyli jednostek pomocniczych. Stolica składa się z 18 dzielnic, a w każdej funkcjonuje rada dzielnicy, w skład której wchodzi od 15 do 28 radnych, wybieranych w wyborach na zasadach analogicznych jak radni miejscy. Łącznie to ponad 400 radnych dzielnicowych.

Konsultacyjna rola osiedlowych samorządów i brak wpływu na takie kwestie jak alokacja budżetowych środków czy priorytety inwestycyjne zrażają zaangażowanych mieszkańców do działania. Najlepszym przykładem są tegoroczne wybory do rad dzielnic na Pradze-Południe, które w praktyce będą mogły się odbyć jedynie w dwóch z ośmiu osiedli.

Jeśli dodamy do tego radnych miejskich, wychodzi nam niebagatelna liczba 460 reprezentantów – to tyle co posłów w sejmie. Dla porównania w Nowym Jorku radnych jest 51, a w Los Angeles – tylko 15.

Czy rady dzielnic są potrzebne? W zasadzie ich główną prerogatywą jest wybór zarządu dzielnicy, czyli burmistrza i zastępców (od trzech do pięciu osób, w zależności od wielkości dzielnicy, przy czym zarządy trzyosobowe są w dzielnicach poniżej 100 tys. mieszkańców, a w tych powyżej tej liczby zarządy składają się z pięciu osób). Pozostałe kompetencje rad dzielnic są stricte opiniodawcze. Radni mogą też interweniować w sprawach ważnych dla mieszkańców, składając interpelacje. W praktyce regularnie robią to nieliczni radni. Na Pradze-Północ mamy np. do czynienia z radnymi, którzy w bieżącej kadencji (trwa od 2018 roku) do dziś nie złożyli ani jednej interpelacji.

Warszawa nie wykorzystuje również potencjału tkwiącego w swoistej samoorganizacji mieszkańców w ramach rad osiedli. Funkcjonowanie osiedli jako jednostek niższego rzędu, pomocniczych w stosunku do dzielnic, wynika z przepisów ustawy o samorządzie gminnym z 1990 roku. W praktyce tylko połowa dzielnic Warszawy podzielona jest na osiedla, w obrębie których funkcjonują rady. Najprężniej proces ten przebiega na Pradze-Południe i w Śródmieściu, choć i tam ostatnie lata pokazały „zmęczenie materiału”. Pomocnicza, konsultacyjna rola osiedlowych samorządów i brak wpływu na takie kwestie jak alokacja budżetowych środków czy inwestycyjne priorytety zrażają zaangażowanych mieszkańców do działania. Najlepszym przykładem tego negatywnego trendu są tegoroczne wybory do rad dzielnic na Pradze-Południe, które w praktyce będą mogły się odbyć jedynie w dwóch z ośmiu osiedli. W pozostałych swoje kandydatury zgłosiło mniej osób niż jest miejsc w radzie.

Oczywiście w odróżnieniu od rady miasta i rad dzielnic praca w radach osiedli ma całkowicie społeczny charakter i może w braku wynagrodzenia należyte upatrywać spadku zaangażowania tą formą działalności obywatelskiej. Drugim problemem jest brak wsparcia „starszych” rad, a może niechęć przed tworzeniem sobie konkurencji. Prężni radni osiedli, rozpoznawalni na lokalnym poziomie, mogliby przecież rzucić rękawicę starszym kolegom i koleżankom z rad dzielnic w kolejnych wyborach, bogatsi o pierwsze doświadczenia samo-

rządowe. Tym należy najpewniej tłumaczyć casus północnopraski, gdzie po konsultacjach dotyczących tworzenia nowych rad osiedli kilka lat temu radni dzielnicy nabrali wody w usta odnośnie nadania temu procesowi dalszego biegu. Oczywiście obwiniając za wszystko pandemię.

Czy się stoi, czy się leży

Radni miejscy i dzielnicowi są wynagradzani. Otrzymują tzw. diety, czyli w praktyce środki, które stanowią wyrównanie za czas poświęcony na pracę obywatelską. Diety są nieopodatkowane i wynoszą miesięcznie od ok. 2 tys. zł (radni dzielnic) do ok. 2,6 tys. zł (radni miejscy). W przypadku wielu osób dieta radnego stanowi znaczące źródło dochodów. Przykładowo enfant terrible północnopraskiego samorządu Jacek Wachowicz zgodnie z oświadczeniem majątkowym nie ma innych źródeł dochodów niż dieta radnego. Gdy patrzy się na aktywność radnych sprawdającą się w najlepszym przypadku do biernego udziału w sesjach rad czy merytorycznych komisji, bez zabierania głosu czy nawet zadawania pytań, aktualne zdaje się znane jeszcze z PRL porzekadło, które, parafrazując, można sprowadzić do zwrotu: „Czy się stoi, czy się leży, dieta radnemu się należy”.

To jednak nie wszystko. Wielu radnych zatrudnianych jest w różnych samorządowych agendach, jednostkach budżetowych takich jak ZGN-y, DOSiR-y czy miejskich spółkach. Wszystko zgodnie z funkcjonującą w amerykańskich realiach zasadą „spoils system” (system łupów), dzięki której rządzący obsadzają część podległych sobie instytucji. To z kolei prowadzi do naruszenia w praktyce zasady incompatibilis, zgodnie z którą pewnych funkcji publicznych nie wolno sprawować tej samej osobie. Bo czyż nie jest dziwna sytuacja, w której prace ZGN-u czy DOSiR-u ocenia zatrudniony w tych jednostkach radny czy radna? A właśnie tak jest na Pradze-Północ w przypadku dwójki radnych lokalnego klubu „Kocham Pragę”. Oczywiście jest to legalne, dopóki te osoby nie będą formalnie kierować tymi jednostkami ...

Listki figowe?

Częścią warszawskiego uniwersum politycznego są również społeczne rady reprezentujące określone grupy mieszkańców.

Zarówno na poziomie miasta, jak i w dzielnicach mamy do czynienia z dwoma takimi radami – radą seniorów i radą młodzieżową. Pierwsza, jak nazwa wskazuje, reprezentuje interesy seniorów, druga – środowisk szkolnych. I jedna, i druga to w praktyce listki figowe służące rządzącym do pozyskiwania opinii i poparcia określonej polityki. Podobną rolę sprawują komisje dialogu społecznego, czyli reprezentacje organizacji pozarządowych funkcjonujące przy wybranych miejskich biurach oraz dzielnicach. Pełnią funkcję konsultacyjną w sprawach dotyczących NGO.

Reforma czy deforma?

Jak ten stan rzeczy zmienić? Personalnie i z pozycji legislacyjnej. Personalnie, czyli poprzez czynny i bierny udział w wyborach samorządowych – niestety wybory samorządowe, mimo że dotyczą spraw najbliższych mieszkańcom, od lat cieszą się najniższym zainteresowaniem, a tym samym słabą frekwencją. Również poprzez udział w sesjach rad czy pracach komisji. Poprzez odwiedzanie radnych na dyżurach czy kontakt w mediach społecznościowych i wymaganie od nich pracy na rzecz lokalnych społeczności. Tyle może zrobić każdy mieszkaniec Warszawy.

Więcej mogą zrobić politycy, grupy lobbingowe czy obywatelskie think tanki. Ci pierwsi próbowali w 2017 roku – właśnie wtedy pojawił się projekt ustawy o metropolii warszawskiej autorstwa PiS. Rządzący uznali, że skoro w samej Warszawie wygrać im trudno, spróbują zmienić reguły gry, powołując do życia warszawską metropolię, a de facto powiększając okręgi wyborcze o podwarszawskie gminy. Całość oczywiście odpowiednio uzasadniono potrzebami związanymi z usprawnieniem procesu zarządzania czy poprawą transportu publicznego. Na fali protestów środowisk samorządowych z projektu zrezygnowano.

Inny pomysł jesienią ubiegłego roku przedstawili działacze Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej. To środowisko tzw. bezpartyjnych samorządowców – część z nich w przeszłości była związana z różnymi partiami politycznymi, a od kilku lat próbuje kreować się na „trzeci siłą”. Pomysł „bezparyjnych” jest prosty. Chcą ulepszyć ustawę warszawską... wzmacniając pozycję dzielnic. Jest to wypadkowa sytuacji, w której to środo-

wisko polityczne kontestuje wiele decyzji prezydenta Trzaskowskiego, co w obecnych ramach prawnych sprowadza się co najwyżej do werbalnych protestów.

Oczywiście „bezpartyjni” nie byłiby sobą, gdyby przy okazji nie spróbowali pozałatwiać różnych interesów. I tak w propozycji zmian legislacyjnych wpisali liczbę członków zarządów dzielnic na poziomie od trzech do pięciu osób, niezależnie od wielkości dzielnicy. Co to w praktyce oznacza? Ano więcej politycznych, dobrze płatnych synekur, przydzielanych w ramach różnych koalicyjnych umów. Proponują również, by to rady dzielnic ustalały pensje, a nawet decydowały o nagrodach finansowych dla członków zarządu. Nietrudno sobie wyobrazić, że przy stabilnej większości rządzącej te środki będą płynąć hojnym strumieniem.

Autorzy enumeratywnie wskazali również zakres działań, które miałyby pozostać w kompetencji dzielnic. To m.in. zarządzanie ulicami gminnymi i ruchem na nich (pokłosie sporów z miastem o rozszerzenie strefy płatnego parkowania na Pradze czy Ochocie), kompetencje kadrowe, w tym powoływanie i odwoływanie szefów różnych jednostek samorządowych działających w dzielnicach (dziś ich szefem jest prezydent) – czyli w praktyce etaty dla działaczy – czy przygotowywanie projektów miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego (w końcu to dzielnice najlepiej znają potrzeby inwestorskie na swoim terenie). Do tego dość duża swoboda, jeśli chodzi o decyzje dotyczące wydatkowania środków na poziomie dzielnic, przy jednoczesnym obowiązkowym mechanizmie subsydiowania z budżetu miasta w postaci środków wyrównawczych.

Trudno powiedzieć, jakie będą dalsze losy tego projektu – na razie jest w sejmowej komisji ds. petycji. Jedno jest pewne: ustrój Warszawy wymaga zmian, ale ich kierunek i zakres powinien być wynikiem szerokich konsultacji oraz porozumienia wszystkich osób i środowisk, którym zależy na sprawniejszym zarządzaniu miastem i jego zrównoważonym rozwoju w kontekście wyzwań współczesności.

**TEKST: KRZYSZTOF MICHAŁSKI
KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ**
Porozumienie dla Pragi

ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK

Onomastyka warszawska w klimacie wakacji

Dzielnica Wawer będzie nam przypominała o wakacjach nie tylko Plażą Romantyczną, ale także ulicą Wakacyjną, która tak jak wakacje jest dość krótka, ale za to już w 1966 roku znalazła się na planie miasta. Lokalizacja jest nieprzypadkowa, gdyż ulica mieści się w części zwanej Falenica, będącej niegdyś letniskiem dla mieszkańców Warszawy.

Za letnisko uchodziła także Wesoła, będąca obecnie dzielnicą graniczącą z Wawrem. Tam też znajdziemy ulicę Wczasową, która co prawda jest młodsza od Wakacyjnej o 30 lat, ale za to jest ponad dwukrotnie dłuższa, a jej bieg trochę może przypominać wczasy, które radośnie rozpoczyna jutrzeńka (ze swoją ulicą), a nagle kończy twarda niczym skały rzeczywistość (ul. Skalista).

W czerwcowym numerze mówimy o plażach, więc naszym obowiązkiem jest poszukać ulicy Plażowej. Tak się

składa, że też znajdziemy ją w Wawrze, w którym, jak wiadać, pełno wypoczynkowej symboliki. Plażowa łączy ulicę Szparagową z Rabatową, co pozwala na skojarzenie wylegiwania się na piasku z delektowaniem się świeżymi szparagami w sąsiedztwie rabat kwiatowych. Niestety Plażowa nie przecina się z ulicą Romantyczną, od której nazwę przyjęła plaża. Co więcej, w linii prostej od Plażowej do brzegów Wisły są ponad trzy kilometry. Ulica ma jednak swój ciek, przy którym leży, a jest nim Kanał Wawerski, oddzielający ją od Traktu Lubelskiego.

Z wakacjami niektórym z całą pewnością kojarzą się różnego typu obozy i kolonie, naturalnym zatem jest, że widząc na planie ulicę Kolonijną (na Targówku) czy Obozową (na Woli), możemy pomyśleć o wypoczynku lub traumach młodości. Mimo że ulica Kolonijna swoją nazwę otrzyma-

ła w wakacje roku 1918, jej nazwa nie pochodzi od „zorganizowanego pobytu wypoczynkowego dzieci i młodzieży szkolnej w czasie wakacji, poza miejscem stałego zamieszkania”, jak słownik PWN określa młodzieżowe kolonie, ale od historycznych osad i kolonii znajdujących się w tej części Targówka w czasach, gdy jeszcze nie wrósł on w tkaninę miejską.

Obozowa jest jedną z ważniejszych ulic w dzielnicy Wola. Z całą pewnością największego kalibru spośród prezentowanych w tym zestawieniu. Jej historia sięga XIX wieku, czyli czasów, gdy obszar ten leżał jeszcze poza Warszawą, a dzieci nie wysyłało się na obozy sportowe. Nazwa prawdopodobnie pochodzi od obozu artylerii pieszej, który w czasach Królestwa Polskiego leżał na jej zachodnim krańcu.

MICHAŁ CHILIŃSKI

Garbaty z Arabii, złoty z Pilzna

„I’d walk a mile for a camel” – mówi bohater amerykańskiej reklamy papierosów z lat sześćdziesiątych. Jednocześnie stawia na pierwszym planie paczkę z rysunkiem wielbłąda i nonszalancko wywala na stół buciory z wytartymi podeszwami. Wielbłąd подарowany Czechom przez króla Władysława Jagiełłę mógłby powiedzieć: „Přešel bych půlku Evropy, abych mohl být na erbu”. A wielbłąd Maniek z warszawskiego zoo dodałby jedynie: „Przeszedłbym cały wybieg w tę i we w tę”.

Wielbłąd potrafi wypić na raz ponad sto litrów wody. Ludzie też piją wodę, chociaż nie w takich ilościach. Wielbłądy i ludzie piją mleko wielbłąda. Ludzie w wielu krajach piją też mocz wielbłąda. Jedzą mięso wielbłąda. Palą papierosy z wielbłądem na opakowaniu. Organizują konkursy piękności wielbłądów. Jeżdżą na nich, a wielbłądy zwiedzają w ten sposób kawał świata. Pewien wielbłąd przewędrował kiedyś z terenów Chanatu Krymskiego aż do Norymbergi, a po drodze wskoczył jeszcze na herb czeskiego miasta Pilzno.

Kraina mlekiem i moczem płynąca

Al-Buchari był perskim uczonym, który zbierał i kompilował hadisy – opowieści o życiu i czynach Mahometa. Zbiór hadisów Al-Buchariego jest przez sunnitów uważany za drugą najważniejszą księgę religijną po Koranie. W hadisie 3018 czytamy: „Opowiadał nam Mu’allā ibn Asad, [który rzekł] opowiadał nam Wuhayb, cytujący ‘Ayyūba, a ten za Abi Qilābā, a ten za Anasem ibn Mālikiem: Do proroka przybyła grupa ośmiu ludzi ze [szczepu] ‘Ukl. Klimat Medyny nie odpowiadał im i źle się poczuli. Powiedzieli: «O Posłańcu Allaha, uracz nas mlekiem». Powiedział im: «Musicie udać się do moich wielbłądów. Oni poszli, pili ich mocz i mleko, aż wyzdrowieli i przybrali na wadze”. Taka wzmianka pojawia się w wielu innych hadisach. Do dzisiaj w krajach arabskich jest w sprzedaży napój Bola-Cola na bazie moczu wielbłąda. Naukowcy piszą, że właściwości lecznicze słonego moczu wielbłądów były cenione na Półwyspie Arabskim na długo przed czasami muzułmańskimi.

W Polsce nie ma utrwalonej praktyki konsumpcji moczu wielbłąda, natomiast od kilku lat w sprzedaży jest wielbłądzie mleko. Największa hodowla w Polsce znajduje się w dolnośląskiej wsi Sanie. Mleko wielbłądów jest mniej tłuste niż krowie, bardziej kremowe, bogate w witaminę C i nieco słone. Staje się coraz popularniejsze w Europie, choć najwięcej mleka wielbłądziego pochodzi z Afryki.

W Arabii Saudyjskiej organizowane są konkursy piękności dla wielbłądów. Nagrody liczy się w milionach dolarów i wydarzenie cieszy się szaloną popularnością. W grudniu 2021 roku w zachodnich mediach zagrzymiały trąby grające o wprowadzeniu na takich konkursach zakazu wstrzykiwania wielbłądom botoksu. Nie ma pewności, czy istnieje Yeti lub życie na Marsie. Jest pewność, że po wpisaniu w wyszukiwarce słowa „wielbłąd” w dowolnym języku i dopiskiem „botox” pojawi się kaskada kolorowych artykułów o konkursach piękności wielbłądów w Arabii Saudyjskiej. Mnie urzekła polska odrębność względem międzynarodowego przekazu, czyli informacja o „pompowaniu garbów” przekazywana od portalu do portalu. A sam osobiście uważam, że najpiękniejsze wielbłądy są w czeskim Pilźnie.



Rzeźba wielbłąda na rynku w Pilźnie

Wielbłąd samopał z Pilzna

Na rynku stoi złota fontanna w kształcie wielbłąda. Wielu mieszkańcom Pilzna nie podoba się konstrukcja ze złotej blachy obok starego kościoła. Wielu nazywa ją „samopałem”, bo ma kształt karabinu i strzela wodą. Z założenia jednak miał to być wielbłąd dwugarbny, który jest w herbie miasta. W trzech słowach było tak: chan krymski dał wielbłąda królowi Jagielle, a on подарował go czeskim husytom, którym z kolei uprowadzili go po nocy obrońcy Pilzna, po czym wysłali do Norymbergi.

Obiegowa opinia z podróżniczych blogów i ulotek w informacji turystycznej w Pilźnie głosi, że cesarz Zygmunt Luksemburski – żeby upamiętnić odwagę obrońców katolickiego Pilzna, którzy poszli w podjazd i wykradli wielbłąda protestanckim husytom – umieścił go w herbie miasta. Okazuje się jednak, że tego gestu niemieckiego cesarza nie potwier-

dza żadne źródło historyczne. Według informacji Archiwum Miasta Pilzno mieszkańcy sami wybrali sobie wielbłąda do herbu.

W roku 1433 sprzymierzone siły czeskich husytów wraz z polską armią pod wodzą króla Jagiełły ruszyły na wyprawę przeciwko Krzyżakom. Husyci szaleli na Pomorzu, ostrzeliwując mury krzyżackie i zdobywając wiele miast. Polsko-czeska armia dotarła aż do Bałtyku. Jak pisze Jan Długosz, „wszystko wojsko, tak konne jako i piesze, rzuciwszy się w bród morski jak tylko mogło najgłębiej, po falach wyprawało sobie gonitwy; harcowali jedni z drugimi, i przez długi czas bawili się taką igraszką. Wiele zaś spomiędzy Czechów nalewało wodę morską w faszki, i zaniosło ją potem do swoich, na pamiątkę tak dalekiej wyprawy”. W podziękowaniu za pomoc Jagiełło подарował husytom wielbłąda. Niedługo później te same oddziały husyckie oblegały Pilzno, które było wtedy

świetnie ufortyfikowaną fortecą, i podarunek od polskiego króla straciły. Mieszkańcy Pilzna zdobyli wielbłąda, a rok później wysłali go do Norymbergi – podobnie jak w przypadku Jagiełły – w podzięce za wsparcie wojenne.

Pilzno po drugiej wojnie światowej wyzwolili Amerykanie. Oprócz pomnika przyjaźni czesko-amerykańskiej na ulicy Americká jest restauracja Uctivany Velbloud. Pomiedzy sklep sportowy i jadalnię wciśnięte są wąziutkie drzwi, a nad drzwiami znajduje się ogromny herb z wielbłądem i koroną. Schody prowadzą do murowanej piwnicy. Na ścianie po prawej powieszono duży obraz przedstawiający zdobycie husyckiego wielbłąda przez obrońców Pilzna. Nad barem wisi na ścianie ogromna głowa wielbłąda, którą przysłali tu kilka lat temu pracownicy archiwum miasta Norymbergi, w rewanżu za podarek sprzed blisko sześciuset lat.

Jak pan woli, to Franz ma camele

Tradycja rozdawania wielbłądów jest w Polsce bardzo długa. Najpierw Mieszko I подарował wielbłąda małemu cesarzowi Ottonowi III na Zjeździe w Kwedlinburgu w 986 roku. Historycy piszą, że świadczy to o sprycie polskiego księcia. Otton III i wielu z jego dworu nie widziało wcześniej wielbłąda, więc prezent był trafiony. Ci bardziej kumaci natomiast mieli czarno na białym, że Mieszko ma dojścia, kontakty i głowę na karku. Pisał o tym niemiecki kronikarz Thietmar, a także Elżbieta Cherezińska w powieści „Harda”: „To zwierzę, panie – bronił wielbłąda koniuszy. – Na rumaki nikt się nie złości, gdy... – To dar, głupcze! Dar nie może srać w czasie przekazywania. Gówno mnie obchodzi, co robi u Teofano. Póki ja i mój syn tam będziemy, nie ma prawa unosić ogona! – Przeglądźmy go, ojcze. Jak nie zje, to i nie wysra. Mieszko spojrział na niego z uznaniem, a Bolesław pomyślał, że wolałby widzieć taką dumę w oczach ojca w sprawach mniej gównianych”.

Jagiełło podtrzymał tradycję i pewnie nawet nie spodziewał się, że wielbłąd, którego подарował husytom, rok później będzie grawerowany złotem na herbie Pilzna. Ruski książę Konstanty Ostrogski, senator Rzeczypospolitej dał pięć wielbłądów królowi Walezemu. Wielbłądy były też w orszaku Jerzego Ossolińskiego, posła do papieża w listopadzie 1633 roku. Samuel Twardowski pisze o tym: „W trop ich dziesięć wielbłądów pokojowe nieśli / sprzęty drogie (o, jaki, skoro w bramę weszli, / zgiełk był ludzi i rumor po dużych podwojach!), / a Perse i Ormieni w tureckich zawojach / po garbach im siedzieli; trębacz za nimi / w tejsze barwie, pod świetno forgam strusimi, / ciągnionej, potrzebując kozakom czterdziestu, którzy następowali”.

Na pustyni Błędowskiej można pojeździć na wielbłądzie. A na OLX można takiego kupić. Egzotyczny garbaty koń działa na naszą wyobraźnię od setek lat.

TEKST: FILIP JEGLIŃSKI

Na bezdrożach dawnych Zakładów Mechanicznych w Ursusie

Na południowo-zachodnim krańcu stolicy, w małym Ursusie, na terenach byłych Zakładów Mechanicznych rośnie osiedle, jakiego stolica nie widziała od lat. Przemysłane, zorganizowane, z planem zagospodarowania łączącym funkcje mieszkalne z handlem, usługami i przemysłem. Bez płotów i reklam wielkoformatowych, z przemysłaną urbanistyką i centralnym rondem na środku. Oto Szamoty, w przyszłości największe osiedle Ursusa.

Tyle teorii. Zakładów Mechanicznych już nie ma, bloków z roku na rok przybywa. Gorzej, że za wszystkim nie nadążają drogi, chodniki, place miejskie ani placówki oświatowe. Mieszkańcy załamują ręce, a dzielnica mówi, że trzeba wytrzymać jeszcze kilka lat. Czy uda się znaleźć wyjście z tej sytuacji?

Bunt przeciwko nieporządkowi

Aby zrobić coś z ogólnym bałaganem – od wiecznie zastawionych chodników, przejść dla pieszych bez dobrej widoczności, wszechobecnych śmieci, przez brak legalnych parkingów, po pył, kurz i TIR-y skracające sobie drogę przez środek osiedli – mieszkańcy powołali grupę Bezpieczeństwo na Szamotach, a następnie skrzyknęli się na protest.

Coś drgnęło – na będącej osią komunikacyjną osiedla ulicy Posag 7 Panien pojawił się przedstawiciel wydziałów ochrony środowiska oraz architektury i remontów oraz dzielnicy radni. Dyskusje, choć burzliwe, przyniosły konkretne propozycje – dzielnica dogada się z deweloperami w sprawie porządku i przedstawi plan zmian.

Nieoczekiwanie obudzili się także mieszkańcy drogowcy, którzy wyremontowali drugą dużą arterię w okolicy, ulicę Gierdziewskiego. Niestety zrobili to, nie uwzględniając żadnych zmian w dziedzinie bezpieczeństwa ruchu drogowego, co wywołało rozczarowanie mieszkańców. Aby dojść do najbliższego parku, żłobka czy przedszkola, trzeba obecnie pokonać 10 metrów gładkiego jak stół asfaltu bez żadnych azylów dla pieszych czy sygnalizacji świetlnej. Łukasz Zboralski, naczelny zajmujący się bezpieczeństwem ruchu drogowego portalu brd24.pl, skomentował, że „wygląda to jak precyzyjnie zaplanowana autostrada do zmiatania pieszych z przejścia”.

Zadowolenie z remontu miesza się na Szamotach z pretensjami do urzędników, którzy nie doprowadzili sprawy do końca. Powstała petycja w sprawie zmian na Gierdziewskiego, a na 25 czerwca na godzinę 10 planowany jest kolejny protest, tym razem przed bazarciem Ursus. Czy zjawi się tyle osób co na Posagu 7 Panien? Zobaczymy.

Propozycja dzielnicy i deweloperów

Na propozycje zmian trzeba było czekać dłużej niż tydzień, ale gdy już się pojawiły, wzbudziły kontrowersje. O ile obietnica sprzątania co tydzień ulic przez firmę opłaconą przez firmy deweloperskie spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem, o tyle nowe objazdy dla pojazdów budowlanych podzieliły mieszkańców. Linie podziału przebiegają po granicach inwestycji deweloperskich. Jedni będą mieli ciszej, drudzy głośniejsze. Trudno dojść do porozumienia.



Fot. mat. pras.

Na razie górę biorą emocje, a tymczasem szczegóły zmian nie są jeszcze dobrze znane. Jednym z pomysłów urzędników jest wykorzystanie do ciężkiego transportu niemającej oficjalnej nazwy żwirowej ulicy znanej jako 44 i 45KD-d(g) – na planach określanej mianem Przelotowej oraz Odlewniczej.

Ale w planach objazdów widnieją także inne ulice, przy których już teraz mieszkają ludzie – jak chociażby Silnikowa. Wydaje się, że nie ma idealnego rozwiązania tej sytuacji. Jedni z mieszkańców osiedla już cieszą się ze zmniejszonego ruchu ciężarówek, inni szykują się do protestów. A budowy trwają w najlepsze – mimo spadków na rynku nieruchomości deweloperzy zaczynają kolejne etapy osiedli. Jeżeli nie sprzedadzą ich klientom indywidualnym, chętnie zainteresuje się nimi wynajem

instytucjonalny. Jeden z deweloperów już teraz zapowiada, że najnowszy etap jego osiedla będzie przeznaczony pod mieszkania na wynajem – inni pewnie również pójdą tą drogą.

Czekając na pierwszy dzwonek

Problematyczna pozostaje też kwestia edukacji. Ursus nadal jest relatywnie tani, przeprowadzają się tu rodziny z dziećmi. Młodych obywateli trzeba jakoś uwzględnić w systemie edukacji. Tymczasem choć na Szamotach plan przewiduje szkoły i przedszkola, w praktyce nie zaczęła się budowa żadnej z planowanych placówek. Już niebawem – 21 czerwca – mieszkańcy dowiedzą się, czy znalazł się wykonawca w przetargu na budowę szkoły podstawowej przy ul. Hennela.

Dzielnica ma już pozwolenie na budowę oraz zabezpieczone środki, ale to nie pierwsze podejście do tej budowy. Już raz przesunięto jej termin z powodu wzrostu cen i niewystarczających środków. Teraz podatnicy będą musieli zapłacić o wiele więcej. Tymczasem zegar tyka – działka pod oświatę została przekazana m. st. Warszawie jako darowizna pod warunkiem budowy szkoły do końca 2025 roku. Jeżeli samorząd nie wywiąże się z tego zadania, najpewniej będzie musiał wykupić działkę po cenie rynkowej – a to już niebagatelne pieniądze, biorąc pod uwagę świetną lokalizację – niedaleko stacji kolejowej, sklepów i urzędu dzielnicy.

Co ze śladami po dawnych zakładach?

Tymczasem na Szamotach znikają ślady po dawnych Zakładach Mechanicznych. Znikają hale fabryczne – te szpetne, PRL-owskie, pokryte blachą falistą – ale i te międzywojenne, stanowiące świadków historii polskiego przemysłu. Do wyburzenia przeznaczona jest dawna portiernia zakładów, obecnie siedziba Domu Kultury „Portiernia”. Nie istnieje dawna brama zakładów, ceglane budynki przy ul. Dyrekcyjnej się sypią.

Miała tu powstać inwestycja deweloperska łącząca architekturę industrialną z zabudową mieszkalną, ale na razie budowa nadal się nie rozpoczęła. Nie wiadomo też, co z jednym z bardziej interesujących budynków w okolicy, czyli Modelarnią przy ul. Cierlickiej 3. Charakterystyczna elewacja z szarej i czerwonej cegły od lat straszy powybijanymi oknami, podczas gdy okolica tętni życiem, modernizuje się i zmienia.

Nawet jeden z symboli dzielnicy – neony traktorków zainstalowane na budynku urzędu – wrócił na miejsce dopiero jako projekt z Budżetu Obywatelskiego. Część mieszkańców jest zachwycona. Pamiętają neon z dzieciństwa, wspominają, jak traktorkom kręciły się koła. Wszystkim dzieciom się to podobało.

Inni podchodzą do sprawy nieco bardziej sceptycznie. – Nie są idealnym odwzorowaniem. Koła kręcą się zupełnie inaczej – mówi pani Agnieszka, w Ursusie mieszkająca od urodzenia. – Tamte jeszcze sama pamiętam. Przepadły, nikt nie wie, co się z nimi stało – dodaje. Najpewniej zniknęły w trakcie tej samej zawieruchy dziejowej, która zdmuchnęła z planszy Zakłady Mechaniczne i przyniosła nową zabudowę, nowych mieszkańców i nowe problemy.

TEKST: KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ

Na Szamotach znikają ślady po dawnych Zakładach Mechanicznych. Do wyburzenia przeznaczona jest dawna portiernia zakładów, obecnie siedziba Domu Kultury „Portiernia”. Nie istnieje dawna brama zakładów, ceglane budynki przy ul. Dyrekcyjnej się sypią.

Lato w Promie

Pomieści tylu ludzi, ilu tylko zechce wejść na pokład, a przy tym serwuje wykwintne doznania artystyczne. – Zabieramy widzów w niezapomniany rejs po kulturze. I wypływamy przy tym na szerokie wody: od sztuk pięknych przez film, muzykę, teatr i literaturę po spotkania podróżnicze – mówi o Promie Juszczczyk. Od 2015 roku na ulicy Brukselskiej 23 na Saskiej Kępie prężnie działa nowoczesna instytucja kultury, w której każdego miesiąca odbywa się ponad 40 wydarzeń artystycznych.

Promem w piękny rejs

Nie bez przyczyny Prom jest Promem i nie bez przyczyny pojawia się w jego kontekście metafora rejsu, bo nowoczesny budynek kształtem przypomina właśnie prom. Inspirowany jest architekturą modernistyczną, która charakterystyczna jest dla zabudowy Saskiej Kępy z lat 20. i 30. XX wieku. Przeszkłone ściany robią ogromne wrażenie. Obcując ze sztuką w środku, ma się poczucie uczestnictwa w miejskiej zielonej przestrzeni Saskiej Kępy. Na poziomie 0 znajdują się sala, w której organizowane są koncerty i spotkania, Galeria Prom oraz – niebawem otwarta po przerwie – kawiarnia. Poziom wyżej również znajdziemy salę galerii oraz salę widowiskową. A na samej górze – taras. Miejsce niesamowite, w którym letnią porą odbywa się „Kulturalne dachowanie”.

Misja i wizja

Instytucja postawiła sobie wiele celów do osiągnięcia. Należą do nich przede wszystkim wysoki poziom programu artystycznego, edukacyjny charakter wielu wydarzeń, aktywizacja lokalnej społeczności i różnorodność oferty programowej. Spaja je jedno wiodące hasło: „Więcej dobrego życia”. Pod nim kryje się mnóstwo wydarzeń, które zaspokoją nasz artystyczny apetyt. Kino, teatr, koncerty, wystawy czy spotkania z artystami. A to wszystko w jednym miejscu.

Czerwiec w Promie

Jeśli plany na czerwcowe wieczory lub weekendy są pod znakiem zapytania, to z pewnością oferta Promu jest na nie odpowiedź. W czerwcu w Promie dzieje się – jak zwykle – wiele. 2 czerwca odbędzie się wernisaż wystawy „Myślenie materią” – międzynarodowej ekspozycji zbiorowej sztuk wizualnych z udziałem artystów z Ukrainy, a kilka dni później wernisaż wystawy akwareli „Pejzaż mazowiecki” Jarosława Filipka. Kino Kępa uraczy nas takimi tytułami jak „Fucking Bornholm”, „Film balkonowy”, „Boscy”, „Wszędzie wszystko naraz” i „Mała mama”. W Teatrze Kępa zobaczymy będziemy mogli komedię „Lekkomysłna siostra” w reżyserii Ryszarda Jakubisiaka. Wśród kulturalnych wydarzeń znajdziemy koncert muzyki country, ale nie zabraknie również tych z serii „Cały ten JAZZ!”. Dla miłośników poetyckich uniesień idealny będzie „Wieczór z poezją i muzyką” z udziałem Małgorzaty Pieczyńskiej, a dla tych, którzy lubią satyrę – wieczór autorski Krzysztofa Daukszewicza. W czerwcu odbędzie się również premiera książki „Żongler. Romain Gary” Agaty Tu-



Wiosna... Wciąż jeszcze wiosna. Ale już niebawem Ziemia maksymalnie wychyli się w kierunku Słońca, a my maksymalnie wychylimy się w kierunku myśli o wysokich temperaturach, wakacjach i beztrosce. Będzie to najdłuższy dzień w roku, z którego nadejściem zawita lato. A skoro lato, to może rejs? Oczywiście kulturalny. Promem, który przystań ma na Saskiej Kępie. O tym, co kryje się na pokładzie, rozmawiam z Marią Juszczyk – dyrektorką Promu Kultury Saskia Kępa.

szyńskiej oraz wiele wydarzeń adresowanych do najmłodszych uczestników kulturalnego życia. Aby być na bieżąco z bogatym repertuarem, warto obserwować stronę internetową instytucji.

A ja nie byłabym sobą, gdybym nie podkreśliła tej przestrzeni Promu, która zachwyła mnie najbardziej. Nie chodzi mi tu o przeszkloną salę, choć wprawia mnie ona w magiczny miejski nastrój, ale o dach budynku. Oglądać film w takich okolicznościach to prawdziwa uczta. Aura, która panuje na tarasie, pozwala zapamiętać zapach ciepłych letnich wieczorów. I później pamięta się ten zapach na długo. Czasem do kolejnego lata...

Bardzo się cieszę, że możemy porozmawiać o miejscu, w którym kulturalnie dzieje się tak wiele wspaniałych rzeczy. Prom Kultury Saskia Kępa – „Więcej dobrego życia”. Ten slogan przyciąga. Czym dla Pani jest to „więcej” w kontekście działalności instytucji?

Dla mnie slogan „Więcej dobrego życia” odnosi się bezpośrednio do samego sedna sztuki. Nasza oferta poprzez wysoki poziom artystyczny i różnorodność gatunkową daje widzom czystą przyjemność obcowania z kulturą, odpoczynek od codziennych obowiązków, a także – co ważne zwłaszcza w kontekście ostatnich wydarzeń na świecie – ukojenie i chwile wytchnienia od trosk. Zawsze gdy widzę wychodzących od nas gości, zadowolonych, usatysfakcjonowanych czy nawet – użyję tego słowa – uskrzydłonych, mam poczucie, że nie jest to tylko hasło, ale rzeczywista wartość.

Z pewnością ma to związek z misją, którą przyświeca działalności. Czy mogłaby Pani o tej misji powiedzieć?

Naszą misją jest zapewnienie dostępu do kultury jak najszerzej liczbie odbiorców o zróżnicowanych zainteresowaniach artystycznych. Chcemy, by dzięki naszej działalności ludzie lepiej rozumieli kulturę, znali



fol.mal.prac.

aktualne tendencje w sztuce, rozpoznawali wartościowych artystów. Zależy nam, by niemal każdego dnia mogli zrelaksować się w naszej sali widowiskowej czy zachwycić się w galerii sztuki. By nawet najbardziej wymagający odbiorcy kultury mogli znaleźć interesującą dla siebie propozycję i wyjść od nas z poczuciem obcowania ze sztuką najwyższej próby. A wszystko to w przyjaznej atmosferze miejsca otwartego na ludzi i ich kulturalne potrzeby.

To naprawdę wspaniałe, że w jednej instytucji możemy doświadczyć tak różnorodnej i bogatej działalności artystycznej. Galeria, w której odbywają się wystawy, pokazy, koncerty, zajęcia muzyczne, spacer i spotkania z artystami. Śmiało można powiedzieć, że Prom zabiera nas w wyjątkowy kulturalny rejs.

Tak, jestem przekonana, że z każdą kolejną odsłoną comiesięcznego repertuaru zabieramy widzów w niezapomniany rejs po kulturze. I wypływamy przy tym na szerokie wody: od sztuk pięknych przez film, muzykę, teatr i literaturę, po spotkania podróżnicze. Dzięki temu możemy zaprosić na nasz pokład miłośników różnych dziedzin i gatunków artystycznych w każdym wieku.

Te rejsy odbywać możemy także z własnych domów. Pandemia sprawiła, że duża część działalności artystycznej zaczęła rozkwiatać w internecie. Prom również wprowadził takie rozwiązanie dla swoich odbiorców. Dzięki temu nadal możemy obejrzeć na przykład koncert jazzowy z Promu online. Jak ocenia Pani te rozwiązania z perspektywy czasu?

Pandemia zaskoczyła wszystkich, ale wiedzieliśmy, że musimy działać szybko, by zachować ciągłość działania instytucji i nie tracić kontaktu z naszymi widzami. Choć w czasie lockdownu nie było łatwo zdobyć sprzęt do transmisji i opanować know-how w tej dziedzinie, udało nam się kupić kamery i właściwie z dnia na dzień przenieść nasz repertuar do przestrzeni wirtualnej. Byliśmy jednym z pierwszych miejsc, które na tak szeroką skalę zaczęło funkcjonować online, w tym trudnym momencie dając widzom – nazwijmy to – okno na artystyczny świat i szansę na wytchnienie w kontakcie z kulturą. Z perspektywy czasu myślę więc, że było to pracochłonne i wymagające działanie, a jednocześnie niewątpliwie konieczny ruch. Co więcej, przyniósł on nieoczekiwaną korzyść – okazało się, że możliwość obejrzenia koncertów w sieci jest nieoceniona dla widzów z innych miast czy nawet krajów. Mamy swoich odbiorców nawet w Kanadzie!

Jak docierają Państwo obecnie do odbiorców?

Mamy oczywiście stronę internetową, która jest w trakcie modernizacji, dzięki czemu – mamy nadzieję – będzie przejrzyste prezentować comiesięczny repertuar. Do tego jest profil na Facebooku, gdzie można znaleźć wszystkie wydarzenia i najbardziej aktualne informacje, a także transmisje online. Równolegle pokazujemy je na naszym kanale YouTube. Jesteśmy obecni też na Instagramie, gdzie chętnie pokazujemy fotografie z koncertów albo prace, które będą prezentowane w ramach Galerii Prom. Zachęcamy wszystkich do odwiedzin naszych kanałów internetowych i zapoznania się z programem, by wybrać najciekawsze dla siebie propozycje.

Maj w Promie należał przede wszystkim do jazzu. Jakie wydarzenia odbędą się w czerwcu?

Faktem jest, że dzięki regularnej obecności na naszej scenie największych gwiazd jazzu jesteśmy kojarzeni z tym gatunkiem muzycznym. Jesteśmy z tego dumni, choć lubimy przypominać, że równie chętnie gościśmy wykonawców repertuaru klasycznego czy muzyki świata, a także artystów rockowych, bluesowych, folkowych. Natomiast w czerwcu – który jak żaden inny miesiąc należy do dzieci – oddajemy w dużej mierze naszą widownię najmłodszym. Oprócz cyklicznych wydarzeń, takich jak lubiane przez dzieci i ich rodziców Smyki na Kępie czy nowy cykl „Jazz dla dzieci”, zaplanowaliśmy także koncert, który poprzez dźwięki

pokaże piękno świata. W czerwcu odbędzie się też pierwszy spektakl Fundacji Sztuka Ciała, która może pochwalić się przedstawieniami dla dzieci na najwyższym artystycznym poziomie. Będzie to „Klaunada”, która pod płaszczykiem lekkiej formy przekazuje głęboką treść.

Czy czerwiec to też miesiąc, w którym będziemy mogli zacząć „Kulturalne dachowanie”? Przyznam, że nie mogę się doczekać.

Pełen sezon dachowy rozpoczynamy wraz nadejściem wakacji w lipcu, kiedy to zaprosimy widzów na cały wachlarz wydarzeń w ramach cyklu „Kulturalne dachowanie”. W piątki będzie to kino pod chmurką, a w weekendy – koncerty.

Jakimi wydarzeniami będziemy mogli się delektować na kulturalnym dachu Promu w czerwcu?

W czerwcu na dachu zaplanowaliśmy jeden spektakl – wspomnianą „Klaunadę” dla dzieci. Gdyby okazało się, że pogoda nie dopisała – jak zwykle w takiej sytuacji – przeniesiemy się do wewnątrz.

Jakie czerwcowe wydarzenia poleciłaby Pani naszym czytelnikom?

Poszłabym tropem słowa „czytelnik” i zaprosiła na spotkania literackie, bo w czerwcu będziemy mieć przyjemność gościć wyjątkowe postaci. Najpierw artysta kabaretowy Krzysztof Daukszewicz oprócz znanych tekstów satyrycznych zaprezentuje bardziej liryczną odsłonę swojej twórczości. A pod koniec mie-

siąca spotkamy się z Agatą Tuszyńską, by wraz z prowadzącym, Tomaszem Raczkim, porozmawiać o najnowszej z napisanych przez nią biografii „Żongler. Romain Gary”. Akcent muzyczny tego wieczoru to wyjątkowy duet Jan Młynarski i Marcin Masecki. Nie zapominajmy też o filmie! W Kinie Kępa – które działa na zasadach kina studyjnego z wyselekcjonowanym repertuarem – jak zawsze mnóstwo nowości, ambitnego kina i artystycznych propozycji oraz seanse rodzinne w bardzo przystępnej cenie.

Każdy znajdzie coś dla siebie. Oferta jest tak różnorodna, że można urozmaicać sobie dni w dowolny sposób. Oczywiście kulturalny!

ROZMAWIAŁA: OKTAWIA WRZESIEŃ
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK

PROM KULTURY SASKA KĘPA. CZERWIEC 2022

1.06 (środa) 17:00 Familijne Kino Kępa. „Fantastyczne zwierzęta: Tajemnice Dumbledora”, reż. David Yates, USA, Wielka Brytania, 2022, 142’ Propozycja dla starszych dzieci, ale i dorosłych na podstawie scenariusza autorki „Harry’ego Pottera” J.K. Rowling. Grindelwald wraz ze swoją armią dąży do przejęcia władzy na świecie. Dumbledore i Newt z pomocą przyjaciół chcą temu zapobiec. / bilet – 15 zł /	Reżyser zebrał mozaikę ludzkich historii, rozmawiając z przechodniami z własnego balkonu kamienicy na Saskiej Kępie. / bilet – 20 zł /	dzieci w wieku przedszkolnym. / wstęp wolny – rezerwacja miejsc / 19:00 Shota Adamashvili – koncert muzyki country Piosenkarz muzyki country i autor tekstów z Gruzji. Urodzony w małym miasteczku Bolnisi grał na ulicach Tbilisi, wystąpił w gruzińskiej edycji „Mam Talent”. / bilet – 20 zł /	Penélope Cruz i Antonio Banderas ponownie razem na dużym ekranie, tym razem w błyskotliwej komedii. Ekscentryczny milioner postanawia stworzyć film, dzięki któremu zapisze się w historii. / bilet – 20 zł /	przedszkolnym. / wstęp wolny – rezerwacja miejsc / 19:00 „Miłość i kłamstwo i grzech” – koncert zespołu Tango Mio Repertuar to pełna paleta muzyczna z okresu lat 20. i 30. XX w. – tanga, walce, słowfoksy i fokstroty, którymi rozbrzmiewały dancingi i potańcówki w Polsce międzywojennej. Do wybranych utworów zatańczy para tancerzy. / wstęp wolny /
2.06 (czwartek) 19:00 Wernisaż wystawy „Myślenie materią” Międzynarodowa wystawa zbiorowa sztuk wizualnych z udziałem artystów z Ukrainy w ramach wsparcia i solidarności. Innowacyjne prace oparte na niepowtarzalności technik inspirowanych nie tylko ideą czy tematem, ale różnorodnością tworzywa, z którego zostały wykonane. Wystawa potrwa do 30.06. / wstęp wolny /	6.06 (poniedziałek) 19:00 Wernisaż wystawy akwareli „Pejzaż mazowiecki” Jarosława Filipka. Cykl akwareli to swoisty notatnik z wypraw po Mazowszu, malarskie wspomnienia z miejsc fascynujących swoją naturalną urodą. Wystawa potrwa do 27.06. / wstęp wolny /	12.06 (niedziela) 18:00 Kino Kępa. „Wszędzie wszystko naraz”, reż. Dan Kwan / Daniel Scheinert, USA 2022, 140’ Szalone połączenie kina akcji, komedii i science-fiction! Borykająca się z trudami codzienności mama w średnim wieku natrafia na klucz do „multiwersum” – sieci przecinających się ze sobą światów, gdzie może zbadać wszystkie drogi życiowe, którymi nie poszła. / bilet – 20 zł /	20.06 (poniedziałek) 19:00 Inny Wymiar Słuchania – o muzyce i z muzyką: Emilia Karolina Sitarz Wybitna pianistka, dyrektorka artystyczna festiwalu Kwadrofonik, laureatka najważniejszych polskich nagród kulturalnych: Fryderyk, Złota Płyta, Paszport Polityki, Koryfeusz. O muzyce, artystycznych pasjach i twórczych planach będzie rozmawiał Jacek Hawryluk. / wstęp wolny /	26.06 (niedziela) 19:00 Teatr Kępa: „Lekkomyślna siostra” Teatr Parabuch Ryszard Jakubisiak – reżyseria, Marta Romanowska – światło i dźwięk. Występują: Anna Winkler, Agnieszka Dzwonkowska, Jolanta Lewandowska, Artur Jasiński, Kazimierz Łysiak, Marcin Mazurek, Hubert Turowiecki, Paweł Wleklík. Komedია Włodzimierza Perzyńskiego odziera z fałszu życie rodzinne i mieszczańską moralność. Doskonała konstrukcja dramaturgiczna utworu do ostatniej chwili trzyma w napięciu. / bilet – 30 zł /
3.06 (piątek) 19:00 Kino Kępa. „Fucking Bornholm”, reż. Anna Kazejak, Polska 2022, 95’ Dwie pary – małżeństwo z długim stażem i nowy związek z Tindera – spędzają majówkowy weekend na duńskiej wyspie Bornholm. Incydent między dziećmi wywołuje kryzys w ich relacjach. Na ekranie m.in. Agnieszka Grochowska i Maciej Stuhr. / bilet – 20 zł /	7.06 (wtorek) 19:00 Cały ten JAZZ! MEET! Jorgos Skolias Polski wokalista greckiego pochodzenia obdarzony charyzmatyczną barwą głosu. Inspiracją są dla niego blues, jazz, rock oraz muzyka etniczna od Grecji poprzez Afrykę do Indii. / wstęp wolny /	13.06 (poniedziałek) 19:00 Kino Kępa. „Szalony świat Louisa Waina”, reż. Will Sharpe, Wielka Brytania 2021, 111’ Niesamowita historia życia Louisa Waina – ekscentrycznego artysty geniusza, który malował nacechowane ludzkimi przywarami koty, dzięki czemu zyskały one sympatię Brytyjczyków. W roli głównej, w jednej z najciekawszych kreacji w karierze, Benedict Cumberbatch. / bilet – 20 zł /	22.06 (środa) 19:00 „Taniec, który slychać” – koncert stepowania Pokaz uczestników studia Tap & Jazz Dance Jiriny Nowakowskiej, niekwestionowanej ekspertki w dziedzinie stepowania. Prowadzenie koncertu: Karolina Nowakowska. / bilet – 15 zł /	27.06 (poniedziałek) 19:00 Teresa Drozda przedstawia: Daniel Olbrychski Gościem specjalnym Teresy Drozdy będzie Daniel Olbrychski. / wstęp wolny /
4.06 (sobota) 10:30 Smyki na Kępie Zajęcia muzyczne dla rodzin z udziałem kwartetu smyczkowego odkrywające świat dźwięków. Dla dzieci w wieku 4-7 lat. / bilet rodzinny – 20 zł do 4 osób /	8.06 (środa) 19:00 Koncert BUM BUM ORKeSTAR w Zaułku Żabczyńskich Organizatorzy: Przemysław Popkowski oraz PROM Kultury. Patronat: Burmistrz Dzielnicy Praga-Południe m.st. Warszawy Tomasz Kucharski. / wstęp wolny /	14.06 (wtorek) 19:00 Kino Kępa. „Mała mama”, reż. Céline Sciamma, Francja 2021, 72’ Kameralny obraz w nurcie filmów terapeutycznych, skupiający się na uczuciach matki i córki. Ośmioletnia Nelly spotyka rówieśniczkę ładząco podobną do swojej mamy... / bilet – 20 zł /	23.06 (czwartek) 19:00 32. Wieczór z Poezją i Muzyką Małgorzata Pieczyńska interpretuje poezje E. Bishop i M. Moore Halina Cieplińska – krytyk, tłumacz, wydawca, prowadzenie; Janusz Bogacki – impresje muzyczne. / wstęp wolny /	28.06 (wtorek) 19:00 Spotkanie z Marcinem Kydryńskim „Wędrowniki po świecie dźwięków” Po wyprawach na krańce globu, w otchłani czasu i w głąb pamięci, po rozmowach o fotografii i literaturze czeka nas podróż po świecie dźwięków. Spotkanie z cyklu „Historie z różnych stron świata” poprowadzi Magdalena Dębowska. / bilet – 20 zł /
5.06 (niedziela) 12:00 Koncert dla dzieci „Dookoła” – Agata Świętoń/Osicki/Wiśniewski Agata Świętoń – autorka muzyki i tekstów, śpiew; Paweł Osicki PUSZ – instrumenty perkusyjne, śpiew; Ignacy Jan Wiśniewski – instrumenty klawiszowe, śpiew. Piosenki o tym, co nas otacza. Zamknięty w dźwiękach zachwyt nad tym, jak piękny i różnorodny jest nasz świat / bilet – 15 zł /	9.06 (czwartek) 19:00 Kino Kępa. „Boscy”, reż. Mariano Cohn/Gastón Duprat, Hiszpania 2021, 114’ Penélope Cruz i Antonio Banderas ponownie razem na dużym ekranie, tym razem w błyskotliwej komedii. Ekscentryczny milioner postanawia stworzyć film, dzięki któremu zapisze się w historii. / bilet – 20 zł /	10.06 (piątek) 18:00 Klaunada – Latający Teatr Sztuki Ciała 2022 / POKAZ PRZEDPREMIEROWY Jest ich pięćioro, noszą dziwne stroje i przybyli z dalekiego kraju. Ciekawi ich nasza architektura, kuchnia i zwyczaje – tu wszystko jest takie inne! Co się wydarzy na styku tych zupełnie odmiennych kultur? Spektakl pomimo pozornej lekkości nosi w sobie przekaz głębszych wartości. Wydarzenie odbędzie się na dachu, a w razie niepogody zostanie przeniesione do wewnątrz. / wstęp wolny /	24.06 (piątek) 19:00 Wieczór autorski Krzysztofa Daukszewicza Spotkanie ze znanym satyrykiem, artystą kabaretowym, który zaprezentuje też liryczną odsłonę swojej twórczości. / wstęp wolny /	29.06 (środa) 19:00 Premiera książki „Żongler. Romain Gary” Agaty Tuszyńskiej Spotkanie z autorką znakomitych biografii, która opowie o swojej najnowszej książce portretującej życie i twórczość Romaina Gary’ego. Żonglerka pozostaje tu niezmiennie metaforą sztuki. Wieczór poprowadzi Tomasz Raczek. / wstęp wolny /
11.06 (sobota) 10:30 #3 Szarp pan bas – zajęcia w ramach cyklu „Jazz dla dzieci” Magdalena Gołębiowska – wokół, fortepian; Jerzy Szczerbakow – gitara basowa. Dzieci poznają gitarę basową, która dziś jest często wykorzystywana w muzyce jazzowej, zwłaszcza w jazzie nowoczesnym i fusion. Spotkanie dla	15.06 (niedziela) 18:00 Kino Kępa. „Film balkonowy”, reż. Paweł Łoziński, Polska 2021, 100’ Ulubiony film widzów 18. edycji festiwalu Millennium Docs Against Gravity.	19.06 (niedziela) 18:00 Kino Kępa. „Boscy”, reż. Mariano Cohn/Gastón Duprat, Hiszpania 2021, 114’	25.06 (sobota) 10:30 #4 Jazzowe Lato – zajęcia w ramach cyklu „Jazz dla dzieci” Magdalena Gołębiowska – wokół, Mateusz Kaszuba – fortepian. „Summertime” – standard jazzowy z opery George’a Gershwin’a będzie punktem wyjścia do zaprezentowania typowej dla jazzu harmonii oraz pretekstem do śpiewania piosenek o lecie w jazzowych aranżacjach. Spotkanie dla dzieci w wieku	30.06 (czwartek) 19:00 Kino Kępa: „Fucking Bornholm”, reż. Anna Kazejak, Polska 2022, 95’ Dwie pary – małżeństwo z długim stażem i nowy związek z Tindera – spędzają majówkowy weekend na duńskiej wyspie Bornholm. Incydent między dziećmi wywołuje kryzys w ich relacjach. Na ekranie m.in. Agnieszka Grochowska i Maciej Stuhr. / bilet – 20 zł /

Mit ale zibn finger.

Powrót Marca Chagalla do Polski

Wskrzeszony w powieści amerykańskiej pisarki Dary Horn i zapytany o sens swojego dzieła Marc Chagall odpowiada: „Błękit [...]. Tak, po prostu błękit. Niby dlaczego obraz miałby coś znaczyć?”. Kolekcję jego czternastu prac można podziwiać dziś w Muzeum Narodowym w Warszawie.



Fot. mat. pras.

Marc Chagall, jakiego znają współcześni, pojawił się dopiero na początku XX wieku, gdzieś na styku petersburskich mostów i paryskich zaułków. Przyszły malarz urodził się latem 1887 roku jako Mojsiej (Mowsza) Szagałow, pierworodny syn handlarza rybami Chaskiela i sklepikarki Fejgi-Ity. Najstarsze z dziewięciorga dzieci małżeństwa Szagałow przyszło na świat niemal martwe, cudem uratowane poprzez zanurzenie w wiadrze z zimną wodą. Niedługo potem ponad 400 drewnianych domów jego rodzinnego Witebska pochłonął pożar. Błękit wody i szkarłat ognia – te kolory będą mu towarzyszyć przez kolejne dekady, podobnie zresztą jak zdolność umykania śmierci.

Matkę Szagałowa, marzącą, by syn otrzymał w przyszłości solidną posadę księgowego, poważnie zmartwiło odkrycie załazków jego talentu. Mimo to zaprowadziła go do pracowni witebskiego malarza Jehudy Pena, który stał się jego pierwszym nauczycielem. Wiosną 1907 roku ojciec Szagałowa rzucił mu na stół 27 rubli na kontynuację edukacji plastycznej w Petersburgu, gdzie na mocy tzw. praw majowych Żydów obowiązywał wówczas zakaz osiedlania się. Dla żydowskiego studenta omińnięcie carskich restrykcji wiązało się z przekupywaniem dozorców, koniecznością dzielenia łóżka ze stołecznymi robotnikami, a wreszcie doprowadziło go do policyjnego aresztu.

Sfrustrowany trudnościami stawianymi żydowskim obywatelom oraz zmęczony upokarzającym zabieganiem o patronaty Szagałow postanowił obrać azymut na stolicę światowej bohemy – Paryż, gdzie impresjoniści oblegali wzgórze Montmartre, dopuszczając do siebie

tylko uznane sławy paryskich salonów pokroju Pabla Picassa. Następne pokolenie – w dużej mierze ubodzy aszkenazyjscy Żydzi z tradycyjnych domów – usadowili się po przeciwnej stronie miasta, w dzielnicy Montparnasse. Szczególnie upodobali sobie kamienicę projektu Gustava Eiffela zwaną La Ruche (fran. „ul”), gdzie koszty rocznego czynszu nie przekraczały 50 franków. Na przełomie 1911 i 1912 roku do listy blisko 140 lokatorów tej artystycznej kolonii dołączył Mojsiej Szagałow.

Zdaniem krytyków jego pierwszy pobyt w Paryżu zaowocował powstaniem najznamienitszych prac: „Ja i miasteczko” (1911), „Poświęcony Apollinaire” (1911–1912), „Autoportret z siedmioma palcami” (1912–1913). Tytuł ostatniej nawiązuje do jidyszowego powiedzenia mit ale zibn finger (dosł. „ze wszystkimi siedmioma palcami”), oznaczającego robienie czegoś z zaangażowaniem i pasją. Izraelski teoretyk literatury Benjamin Harshav tłumaczy to wyrażenie nieco bardziej poetycko, jako „inwestowanie w dzieło całego swojego bytu”.

Atypowa liczba palców nie jest jedyną deformacją, którą widać u bohaterów płócien Chagalla. Równie często mamy do czynienia z podwójnymi twarzami, które symbolizować mają dwoistość charakteru lub zdolność do łączenia w sobie sprzecznych cech. Można je zobaczyć na najnowszej wystawie Muzeum Narodowego w Warszawie w pracach „Hołd – wielki bukiet” (1975) i „Konwalie na święto 1 maja w pracowni” (1981), gdzie w typowy dla swojej techniki malarskiej sposób Chagall konstruuje „obraz w obrazie”, przedstawiając siebie samego przed sztalugą. Postaci o janusowych obliczach uchwycone są w momencie

transformacji, przejścia między przeszłością a przyszłością. W takim rozdarciu żył sam Chagall, do końca życia zawieszony między sennym wspomnieniem sztetlowego dzieciństwa a gwałtownie zmieniającym się pejzażem dorosłości w metropolitalnej Europie i Ameryce. Nastroje te wybrzmiewają w dziele „Moje życie między Witebskiem a Paryżem”, gdzie pejzaż rodzinnego miasteczka przenika się z wieżą Eiffela, ukrzyżowanym na katedrze Notre Dame Chrystusem, kopulastą synagogą zwieńczoną gwiazdą Dawida i paletą malarską trzymaną w rękach autora. W tym niemal monochromatycznym obrazie dominantą jest bukiet kolorowych kwiatów, złożony w hołdzie obu miastom jako symbol wdzięczności.

Pośród przedstawionych na płótnie jidyszowych idiomów znakiem rozpoznawczym Chagalla został luftmensz („powietrzny człowiek”) – bujający w obłokach marzyciel czy intelektualista, zazwyczaj o twarzy samego autora. Czasem pojawia się w towarzystwie kobiecej postaci łudząco podobnej do jego ukochanej – Belli Rosenfeld, którą poślubił po powrocie z Paryża w 1915 roku. Chagall wypowiedział wojnę grawitacji; w jego obrazach lewitują nie tylko zakochane pary, ale i koguty, pobożni żydzi czy też krowa uosabiająca prowincjonalność tradycyjnego życia, która barwą często upodabnia się do mitycznej para aduma (hebr. „czerwona jałówka), zapowiadającej nadejście ery mesjańskiej.

Warunki życia w postrewolucyjnej Rosji wymagały od artystów raczej twardego stąpania po ziemi aniżeli lewitowania – Chagall nie potrafił się w nich odnaleźć. Obwołany „artystą burżuazyjnym” powrócił do Paryża z żoną

Bellą i córką Idą. Wtedy właśnie nastąpił najszczęśliwszy okres w jego prywatnym życiu. Brał udział w prestiżowych wystawach, zdobywając międzynarodowy rozgłos. W 1935 roku odwiedził Polskę i jako gość honorowy wziął udział w otwarciu Centrum Żydowskiego w Wilnie. Jednak lata 30. naznaczyły jego twórczość nastrojem smutku i niepokoju związanego z dojściem nazistów do władzy. W 1933 roku, podczas wystawy poświęconej kulturze bolszewickiej w Mannheim, Niemcy spalili część jego obrazów. Cztery lata później w Monachium wystawiono jego prace jako przykład semickiej „sztuki zdegenerowanej”. W 1940 roku rząd Vichy odebrał malarzowi nadane trzy lata wcześniej obywatelstwo francuskie. Dzięki pomocy amerykańskiego dziennikarza Variana Frya rodzina Chagallów uciekła statkiem z Marsylii do Nowego Jorku, gdzie dotarła 21 czerwca 1941 roku, dzień przed atakiem Niemiec na ZSRR.

Do powrotu Chagalla w 1948 roku ofiarami Zagłady stali się jego niegdyśsi współlokatorzy z La Ruche tudzież inni przedstawiciele tzw. École de Paris. Henryk Langerman zginął prawdopodobnie na terenie getta lwowskiego w 1943 roku. Niedaleko, bo w obozie przy ul. Janowskiej w Lwowie, zamordowano Fryderyka Kleinmana. Joachim Weingart został aresztowany, a następnie przetransportowany do KL Auschwitz 17 lipca 1942 roku. Półtora roku później wskutek donosu zbliżoną trasę przebył Henryk Epstein.

Różnie potoczyły się też koleje życia pedagogów żydowskiego sierocińca w Małachowce, gdzie Chagall uczył malarstwa w 1920 roku. Pisarz Der Nister zginął 4 czerwca 1950 roku w nieznanym z nazwy ani lokalizacji szpitalu łagrowym. Dawid Hofstein i Lejb Kwitko zostali zamordowani podczas stalinowskiego procesu poetów żydowskich.

Marc Chagall nie podzielił tego losu. Jego obrazy pozostały w znacznej mierze błękitem sennych marzeń; takim samym jak oczy samego malarza, które nigdy nie ujrzały zmierzchu żydowskiego życia w Europie. Jak napisał jego biograf Jonathan Wilson, „Chagall malował w jidysz” – języku swojego dzieciństwa, witebskich sztybli i klientów kupujących śledzie u jego ojca. Kiedy ten świat przestał istnieć, malarz nie był w stanie wyśłowić jego zagłady matczyną mową. Holocaust przedstawił w swoich pracach przy użyciu ikonografii chrześcijańskiej, pod postacią ukrzyżowanego Chrystusa („Prześladowanie”, 1941; „Żółte ukrzyżowanie”, 1943). W kolekcji Muzeum Narodowego w Warszawie znajduje się też nieco późniejsze z tej serii „Ukrzyżowanie” (1954–1959). Dominujące w kompozycji ciało Jezusa zdaje się być rozpięte na płótnie, z rękami niemal dotykającymi ram obrazu, na tle w odcieniach fukcji i purpury. U stóp krzyża widnieje Mojżesz o osłich uszach trzymający tablice z Dziesięciorgiem Przykazań, a po prawej stronie Jezusa – postać kobieca w fioletowej szacie, prawdopodobnie Maria, z wyciągniętą w kierunku syna dłonią o siedmiu palcach. Bo nawet cierpieć można z oddaniem. Jak powiedział rabin Nachman z Bracławia, „nie ma nic pełniejszego niż złamane serce”.

JOANNA BAKOŃ



Tęczowa (nie)widoczność

Powiedzieć, że polskie prawo nie chroni osób nieheteronormatywnych, to nie powiedzieć nic. Polska już trzeci rok z rzędu plasuje się na ostatnim wśród krajów Unii Europejskiej miejscu w rankingu ILGA-Europe, który mierzy równouprawnienie osób LGBTIA.

Ranking skupia się na konkretnych rozwiązaniach prawnych wobec osób nieheteronormatywnych. Badane jest siedem kategorii prawodawstwa: równość i zakaz dyskryminacji, rodzina, przestępstwa z nienawiści i mowa nienawiści, wolności obywatelskie, uzgodnienie płci, prawo do azylu oraz integralność cielesna osób interseksyjnych. Na 100 punktów Polska uzyskała 13, najwięcej w kategorii związanej z uzgodnieniem płci (5 punktów). Punkty nie zostały przyznane w kategoriach związanych z sytuacją rodzinną, mową nienawiści i osobami interseksyjnymi. W Europie na gorszej pozycji znajduje się jedynie pięć krajów: Turcja, Azerbejdżan, Rosja i Armenia. Realia polskiej społeczności LGBTIA od lat nie ulegają poprawie. Ruchy związane ze społecznością LGBT+ próbują wpłynąć na zmianę ustawodawstwa (na przykład złożenie w 2020 roku ustawy o równości małżeńskiej) czy świadomość społeczną poprzez akcje informacyjne, zwalczanie marginalizacji i organizację marszów równości.

Historia ruchu homoseksualnego w Polsce

Błażej Warkocki wyróżnia trzy fale emancypacji homoseksualności w Polsce. Pierwszy etap datuje się na okres od 1981 roku do 1990 roku. W latach 80. doszło do pewnego rozluźnienia obyczajowego. Zaczęła rozwijać się literatura homoseksualna, a temat pojawiał się w debacie publicznej. Pierwszy etap emancypacji homoseksualnej jest silnie związany z dwoma wydarzeniami – akcją „Hiacynt” i utworzeniem nowej komórki International Gay Association na Europę Wschodnią. Akcja „Hiacynt” była ogólnopolskim działaniem Służby Bezpieczeństwa w latach 1985-1987, które polegało na zbieraniu informacji o środowisku homoseksualistów, zakładaniu jego członkom Karty Homoseksualisty i otrzymywaniu deklaracji od osób nieheteronormatywnych o braku zainteresowania dziećmi.

Podłożem do przeprowadzenia tak dużej akcji było, jak twierdziła władza komunistyczna, przeciwdziałanie epidemii AIDS. Należy zwrócić uwagę, że akcja „Hiacynt” nie była pierwszym działaniem służb komunistycznych przeciwko homoseksualistom – już w latach 60. podejmowano próby ich kontroli i inwigilacji. Paradoksalnie, jak wspomina Andrzej Seilerowicz, „Hiacynt” spowodował większą integrację środowiska. Zaczęły się pojawiać nowe grupy zrzeszające homoseksualistów. Niebagatelny wpływ na ich rozwój miał wyżej wspomniany aktywista, który objął w IGA kierownictwo nad Eastern Europe Information Pool. Był on odpowiedzialny za zbieranie informacji na temat życia społecznego homoseksualistów i udzielanie wsparcia w tworzonych przez nich organizacjach. Jedną z pierwszych, która powstała pod koniec lat 80., był Warszawski Ruch Homoseksualny, którego założyciele podjęli się próby rejestracji w 1988 roku. Ostatecznie, w związku z decyzją gen. Czesława Kiszcza, odmówiono jego zalegalizowania. Pomimo krótkiego czasu działania WRH wywarł znaczący wpływ na rozwój organizacji LGBT. Zainteresowało się nim nawet Ministerstwo Zdrowia, które przychylnie patrzyło na akcję walki z AIDS, promowaną przez WRH.

Kolejny etap emancypacji homoseksualnej Warkocki datuje na lata 1990-2003. W Polsce dochodzi wówczas do transformacji ustrojowej i powoli rozpoczyna się instytucjonalizacja organizacji homoseksualnych. Pierwszą legalną zarejestrowaną organizacją podejmującą kwestie praw homoseksualnych było Stowarzyszenie Grup Lambda, które rozpoczęło działalność w 1990 roku. Pomimo znaczących zmian, które zaczęły zachodzić w społeczeństwie polskim, temat homoseksualności nie przebiegał się szczególnie do opinii publicznej. Dziennikarze postrzegali kwestię homoseksualną jako marginalną. Nowością w latach 90. była jednak coraz szersza organizacja środowisk lesbijskich. Wcześniej opisane wydarzenia skupiały się głównie na homoseksualnych mężczyznach.

Duże zmiany zaczęły się pojawiać od 2003 roku, kiedy w polskich miastach rozpoczęła się akcja Kampanii Przeciwko Homofobii pt. „Niech nas zobaczą”. Karolina Breguła, realizatorka projektu artystycznego, sfotografowała 15 par gejowskich i 15 par lesbijskich. Akcja wywołała duży skandal – rozpoczęły się akcje zrywania rozwieszonych plakatów. Homoseksualność stała się tematem publicznym. Po okresie względnej niewidoczności w latach 90. zaczęła wracać jako temat polityczny, który zagraża „dobru narodowemu”. Głównym problemem dla sceny politycznej było pojawienie się obrazów par homoseksualnych w sferze publicznej. W tym wymiarze znaczący był udział parad równości.

Od zakazów po patronaty

Pierwsza Parada Równości odbyła się w 2001 roku w Warszawie. Inicjatorem tej, z początku małej, inicjatywy był ówczesny biskup Zjednoczonego Kościoła Chrześcijańskiego Szymon Samiec. Z początku marsze nie budziły szczególnego zainteresowania opinii publicznej. Zmiana zasła w 2004 roku, kiedy prezydent Warszawy Lech Kaczyński zakazał organizacji parady. Wydarzenia z tamtego roku można interpretować jako pokłosie reakcji społecznych na akcję KPH z 2003 roku. Ostatecznie w 2004 roku zorganizowano Wiece Wolności, który był koordynowany przez osoby z 21 organizacji, dzięki czemu uniemożliwiono jego rozwiązanie. 2005 rok również nie wpisał się pozytywnie na tęczowe karty historii – ponownie zakazano organizacji przemarszu, co skutkowało związaniem nielegalnego wydarzenia. Zakaz spotkał się z reakcją Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który w 2007 roku orzekł, że naruszono Europejską Konwencję Praw Człowieka. Rok 2010 stał się przełomowy, ponieważ zaczęto wówczas wracać do idei ogólnej dostępności i inkluzywności. Organizacja parady przez podmiot prywatny spotkała się z negatywną reakcją ze strony osób LGBT. Mieszanie się strefy komer-

cyjnej i walki o prawa LGBT do dzisiaj wywołuje duże kontrowersje. Związany jest z tym pink washing, czyli działania PR wielkich korporacji, które w czasie miesiąca dumy „obwieszają” swoje loga i produkty kolorami tęczy, przy ogólnie nikłym zaangażowaniu w walkę o prawa osób LGBT+. Dodatkowo służy to w jako zasłona dymna, która maskuje takie problemy jak nieprzestrzeganie praw pracowniczych czy wykorzystywanie pracowników z krajów azjatyckich.

W ostatnich latach, ze względu na zmianę polityczną, Parada Równości w Warszawie doczekała się patronatu ze strony prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego. W tym roku ze względu na bezprawną agresję Rosji na Ukrainę Parada Równości w Warszawie przemianowała się na Warsaw & Kyiv Pride Marching for Peace. „Wzywamy społeczność, organizacje LGBTQIA i ludzi na całym świecie, aby przyłączyli się do wspólnego marszu Warsaw & Kyiv Pride i stanęli w obronie wolności narodu ukraińskiego, pokoju i miłości” – piszą organizatorzy. Wydarzenie odbędzie się 25 czerwca o godzinie 15.

Widoczni niewidoczni

Chciałbym nawiązać w tym momencie do swojego poprzedniego artykułu, w którym analizowałem homoseksualność w kontekście miejskim. Wyłaniała się stamtąd konkluzja, że osoby LGBT często przyjeżdżają do miast, żeby czuć się bezpieczniej i być bardziej anonimowymi. Po przeczytaniu tego artykułu pojawia się jednak zgoła inny obraz homoseksualności – aktywnej, wychodzącej na ulice, walczącej o swoje prawa. Dlatego chciałbym uzupełnić swój postulat: twórzmy specjalne miejsca, w których osoby LGBT będą czuć się dobrze, ale też akceptujemy różnorodność przestrzeni publicznej, która powinna być dobrem nas wszystkich.

**TEKST: KONRAD RYSZARD WYSOCKI
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK**



Matka Polka też człowiek

Czyli o tym, że macierzyństwem można być zmęczonym

Są takie dni, kiedy chowam się pod kołdrę, gaszę światło i po prostu płaczę. Mam wtedy ochotę wstać, spakować walizki i nie wrócić. Czuję się sfrustrowana. Przez cały dzień robię coś dla kogoś. Jest mi źle ze sobą, bo bardzo kocham swoje dzieci i nie wyobrażam sobie życia bez nich, ale potem przychodzi noc, a ja znowu płaczę... Nie lubię się za to. Czuję, jakbym wtedy robiła coś złego.

Klaudia ma dwadzieścia osiem lat i rocznego synka Mikołaja. Nigdy nie czuła potrzeby posiadania dzieci, ale nie była też ich przeciwniczką, dlatego gdy mąż po dwóch latach od ich ślubu powiedział, że chciałby, aby ich rodzina powiększyła się, dziewczyna nie protestowała. O macierzyństwie nie wiedziała wiele, tyle co z filmów i opowiadań koleżanek, ale myślała, że przecież jakoś to będzie. Jej mama poradziła sobie, będąc samotną matką, to i ona da radę, zwłaszcza że ma obok Piotrkę, swojego męża.

Po porodzie kiepsko się czuła. Ciągłe zmęczenie, wahania nastroju, pojawiające się na zmianę płacz ze śmiechem i to krwawienie, które było nieodłącznym elementem porodu. Mikołaj na początku dużo płakał i mało spał. Miał ciągłe kolki, nie chciał jeść, a Klaudia czuła się przez to niewystarczająco dobrą mamą. Piotrek starał się pomagać i być dla niej wsparciem, ale musiał też pracować, więc w domu zjawiał się zazwyczaj dopiero wieczorem. Ona coraz częściej chodziła zła. Zdarzało jej się nawet czasami obwiniać w myślach swojego męża. W końcu to on chciał mieć dziecko, jej na tym nie zależało. Zgodziła się, bo kochała Piotrkę, a własna rodzina od zawsze była jego marzeniem.

– Minęło już tyle czasu, a ja nadal jestem wykończona. Tak jakby przez ten rok nic się nie zmieniło, jakbym się niczego

nie nauczyła. Kiedyś myślałam, że macierzyństwo z dnia na dzień będzie robiło się coraz łatwiejsze, bo przecież przyzwyczaję się i nauczę obsługi tego malucha, a ja mimo upływu czasu nadal czuję się okropnie. Czasami zdarzają się takie dni, że patrzę na śpiącą w łóżeczku główkę Mikołaja, a jedyne, o czym wtedy myślę, to to, jakby wyglądało nasze życie z Piotrkim, gdybyśmy rok temu nie zdecydowali się na dziecko. Najgorsze w tym wszystkim jest chyba to, że kocham swojego synka bezgranicznie i oddałabym mu wszystko, ale gdyby ktoś przyszedł do mnie i dał mi znowu wybór, to wiem, że drugi raz nie zdecydowałabym się na macierzyństwo. Duszę w sobie wszystkie negatywne myśli i emocje. Coraz częściej widzę, że nie umiem sobie z nimi poradzić. Boję się ich, bo mam wrażenie, że robię coś złego. Nie mówię nikomu o tym wszystkim z obawy, że ludzie wezmą mnie za potwora – przyznaje Klaudia.

Słowo prawdy

Kaja na co dzień pracuje w agencji marketingowej. Bardzo lubi swoją pracę. Zajmuje stanowisko team leaderki, czyli zarządza własnym zespołem. Czuję się spełniona i, jak sama mówi, odnalazła swoje miejsce na Ziemi.

Za chwilę niestety będzie musiała zrobić sobie dłuższą przerwę. Jest w piątym miesiącu ciąży i idzie na urlop macierzyński. Cieszy się, bo będzie miała drugą córeczkę. Marysię urodziła sześć lat temu i od tamtej pory dziewczynka stała się oczkiem w głowie Kai. Codziennie czytała córce bajki na dobranoc, mimo że ta nic jeszcze nie rozumiała, przytulała ją, gdy mała męczyła się przy kolejnych kolkach, i za każdym razem czuwała przy jej łóżku, kiedy termometr pokazywał stan podgorączkowy. W portfelu Kaja nosi dwa zdjęcia – swojego męża i Marysi. Zawsze chętnie chwali się sukcesami córki. Nazywa ją swoją małą, zdolną bestią.

– Kocham Mańkę nad życie – mówi. Wiele rzeczy mi się w życiu udało, ale córka jest zdecydowanie tym, co wyszło mi najlepiej. Dlatego tak bardzo nie mogę się doczekać, aż pojawi się na świecie siostra Marysi. Wiem, że będzie tak samo fajna jak nasza pierwsza córka, czuję to. Czy się boję? Trochę tak. Na pewno jest mniej obaw niż przy pierwszej ciąży, bo już wiem, co i jak, ale stres jest zawsze... Pamiętam, co czułam, gdy urodziła się Marysia. Nie było tak kolorowo, jak jest teraz. Szczepki? Było wręcz okropnie! Poczułam się rozczarowana i... oszukana. Tak! Oszukana. Inaczej wyobrażałam sobie macierzyństwo. Wszystkie kobiety wokół mnie opowiadały o tym, jaki to

jest wspaniały czas i że nie ma nic lepszego. Guzik prawda... To jeden z najtrudniejszych momentów w moim życiu. Musiałam się odnaleźć w nowej roli, która wcale nie była łatwa. W dodatku nagle wszystko, co do tej pory mogłam robić, przestało być dla mnie możliwe. Nie umiałam się z tym pogodzić przez pierwsze lata życia Mańki. To jej potrzeby się liczyły, ja musiałam zejść na dalszy plan. Ktoś może powiedzieć, że przecież mogłam się tego spodziewać... W końcu to macierzyństwo, a nie wakacje. I tak, mogłam się tego spodziewać, ale to nie oznacza, że ot tak da się rzucić wszystko i bez zająknięcia stać się matką. Musiałam pozwolić sobie na małą, osobistą żalobę po życiu towarzyskim, na co nie byłam gotowa, żeby móc w pełni cieszyć się z macierzyństwa. Ale nikt głośno o takich rzeczach nie powie, bo co to za matka, która wolałaby wyjść ze znajomymi do kina niż zostać z dzieckiem w domu?

Spakować walizki i nie wrócić

Ewelina samotnie wychowuje dziewięcioletniego Kubę i siedmioletnią Hanię. Ojciec dzieci zostawił ich, gdy kobieta była w drugiej ciąży. Ewelinie nie jest łatwo, ale bez niego jest jej jednak lepiej. Nikt się nie czepia, nie obraża i niczego nie wymaga.



No może oprócz dzieci, ale to osobna sprawa. One są na innych zasadach. Ewelina każdy swój dzień zaczyna o szóstej rano. Robi śniadanie dla Kuby i Hani, sprawdza ich plecaki, czy na pewno wszystko ze sobą zabrali, a potem odwozi ich na ósmą do szkoły. Sama do pracy ma na dziewiątą. Po ośmiu godzinach wraca do domu, ale po drodze robi jeszcze zakupy na obiad. Dzieci ze szkoły przyprowadza ich babcia. Jak już wszyscy zjedzą, całą trójką siadają do lekcji. Najpierw Kuby, bo z reguły ma ich więcej, a potem Hani. Naukę kończą zazwyczaj o dwudziestej pierwszej, więc trzeba dopilnować jeszcze, żeby się umyli, a później szybka bajka i spać. Czasami Ewelina próbuje zrobić coś dla siebie, ale raczej rzadko ma na to siłę, dlatego jak tylko Kuba i Hania zasną, ona sama kładzie się do łóżka, żeby następnego dnia znowu móc wstać o szóstej.

– Są takie dni, kiedy chowam się pod kołdrę, gaszę światło i po prostu płaczę – przyznaje. Mam wtedy ochotę wstać, spakować walizki i nie wrócić. Czuję się sfrustrowana. Myślałam ostatnio, czy nie zacząć jeździć rowerem do pracy, ale zrezygnowałam. Dojazd metrem do biura zajmuje mi godzinę i to jest jedyny czas, kiedy mogę być sama i poczytać w spokoju książkę. Przez cały dzień robię coś dla kogoś. Jest mi źle ze sobą, bo bardzo kocham swoje dzieci i nie wyobrażam sobie życia bez nich, ale potem przychodzi noc, a ja znowu płaczę... Nie lubię się za to. Czuję, jakbym wtedy robiła coś złego.

Tęsknota za życiem we dwoje

Alicja od najmłodszych lat kochała taniec. W wieku dziesięciu lat poszła na pierwsze zajęcia, a po dwóch latach pojechała z grupą na występ. Od tego czasu zaczęła się jej przygoda z jazzem. Poświęcała swojej pasji każdą wolną chwilę. Gdy jej znajomi z liceum wychodzili w weekendy na imprezy, ona siedziała na sali gimnastycznej i trenowała. Potem poszła na studia, ale nie była z nich zadowolona, bo nie były związane z tańcem. Chciała mieć po prostu papier, więc zaciskała zęby. Na trzecim roku zaszła w nieplanowaną ciążę. Była

załamana, bo nie czuła się gotowa na dziecko. Szczerze mówiąc, nie wiedziała nawet, czy kiedykolwiek wcześniej chciała je mieć, ale stało się. Czasu nie można cofnąć, a Alicja nie wyobrażała sobie, żeby ciążę usunąć. Po dziewięciu miesiącach stała się mamą małej Amelki i wspomina, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Szybko wpadła w wir brudnych pieluch, przygotowywania kaszek i wyparzania smoczka. Na początku czuła się naprawdę nieźle jak na kogoś, kto nie chciał mieć dziecka. Dopiero po trzech latach pojawiła się ogromna tęsknota, którą trudno było czymkolwiek wypełnić.

– Siedziałam tego dnia i przeglądałam Facebooka w czasie, gdy Amelka akurat miała drzemkę. Dostałam nagle wiadomość od mojej znajomej, z którą od dawna nie miałam już kontaktu. Wysłała zdjęcie, na którym byłam ja i ona. Uśmiechałyśmy się i robiłyśmy dziwne pozy. To musiał być jeden z naszych wspólnych treningów. Poczulałam wtedy dziwne ukłucie w brzuchu i po raz pierwszy od trzech lat zobaczyłam, jak bardzo brakuje mi w moim życiu tańca. Opanowała mnie wtedy ogromna złość. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Zadzwońiłam do mamy, ale szybko tego pożałowałam. Potrzebowałam w tamtym momencie wsparcia, a usłyszałam, że jestem teraz matką i nie czas na myślenie o głupotach. Powiedziała, że powinienam skupić się na tym, czego potrzebuje Amelka, a nie na swoich zachciankach. Po tej rozmowie czułam się jeszcze gorzej... Myślałam, że jestem wyrodną matką, bo przez chwilę zapragnęłam wrócić do czasów, gdy nie było mojej córki na świecie, a ja każdą wolną chwilę spędzałam na sali treningowej. Uspokoił mnie dopiero mój chłopak. Wtedy po raz pierwszy wyznał

mi, że on też miewa momenty, w których żałuje, że się lepiej nie zabezpieczaliśmy. Kocha naszą córkę i jest dla niej świetnym ojcem, ale nie zdążyliśmy jeszcze przeżyć wszystkiego, o czym marzyliśmy. Czy to, że zdarza nam się tęsknić za życiem tylko we dwoje, sprawia, że jesteśmy złymi rodzicami? Nie wiem... Czasami tak się właśnie czuję – opowiada Alicja.

Dobra matka

W głowach wielu osób wciąż istnieje przekonanie, że dobra matka, to ta, która sama nakarmi, przewinie, umyje, pobawi się i położy spać. Dobra matka to też ta, która zrobi własnoręcznie obiad, a nie poda ze słoiczka, pójdzie na każdą wizytę kontrolną do lekarza, zamiast wysłać tatę i posprząta mieszkanie nawet wtedy, gdy nie przychodzą do niej żadni goście. Dobra matka nie prosi również o pomoc, nie traci cierpliwości, nie denerwuje się, nie płaczę, a już na pewno nie krzyczy. W dodatku dobra matka nie potrzebuje czasu dla siebie, nie tęskni za chwilami, kiedy mogła robić, co chciała, i nie zdarzają jej się dni, w których wolałaby spotkać się z koleżankami, niż spędzić kolejny wieczór na czytaniu bajek.

Pamiętam pewną bardzo krótką rozmowę z zupełnie obcą mi kobietą. Jechaliśmy razem windą, a w wózku leżał i płakał jej czteromiesięczny synek. Przeprosiła mnie za to, że chłopczyk jest tak głośny, i żaliła się, że od dwudziestu minut nie może go uspokoić. Uśmiechnęłam się do niej i powiedziałam, żeby się nie przejmowała. Przecież to małe dziecko, więc nie mogę denerwować się na to, że płaczę. I wtedy ta zupełnie obca mi kobieta wypowiedziała jedno zdanie, które zapadło mi

w pamięć, po czym wyszła z windy. „Czasami żałuję, że w ogóle urodziłam”. Zastanawiam się, czy byłam pierwszą osobą, do której powiedziała to na głos. Czułam bijącą od niej frustrację i wiem, że takich kobiet jest dużo. Biorą na siebie cały ciężar związany z wychowaniem dziecka, bo „tak należy” i „tylko tak robią dobre matki”. Nigdy nie narzekają i wszystkie złe myśli dotyczące swoich dzieci chowają jak najgłębiej, żeby nikt przypadkiem się o nich nie dowiedział. A prawdziwa siła nie polega na odkładaniu w kącie swoich potrzeb tylko po to, żeby zaspokoić potrzeby innych. Prawdziwa siła to poproszenie o pomoc, gdy nie dajemy sobie rady. W czasie lotu samolotem, gdy wypadają nagle maski tlenowe, najpierw zakładasz jedną sobie, a dopiero potem pomagasz zrobić to dzieciom lub innym potrzebującym osobom. I nie chodzi o to, że w tamtym momencie ktoś jest bardziej lub mniej ważny. Po prostu żeby móc komuś pomóc, najpierw tę pomoc musisz dać sobie. Tak samo jest z macierzyństwem. Żeby mieć siłę do opieki nad dzieckiem, trzeba w pierwszej kolejności zaopiekować się sobą.

Dlatego, drogie Mamy, pamiętajcie na co dzień o swoim tlenie, czyli odpoczynku. Bez niego nie jesteście w stanie normalnie oddychać. I pamiętajcie, że matka Polka to też człowiek, a macierzyństwem, tak jak wszystkim innym, można być zmęczonym. To, że bywacie bezsilne i sfrustrowane, a jedyną rzeczą, na jaką macie ochotę, jest wyjechanie w miejsce, w którym nikt was nie znajdzie, nie oznacza, że jesteście złymi mamami. To sygnał, że czas o siebie zadbać.

TEKST: MARTYNA PACHOLAK
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK

Prawdziwa siła nie polega na odkładaniu w kącie swoich potrzeb tylko po to, żeby zaspokoić potrzeby innych. Prawdziwa siła to poproszenie o pomoc, gdy nie dajemy sobie rady. To, że bywacie zmęczone i sfrustrowane, nie oznacza, że jesteście złymi mamami.

To sygnał, że czas o siebie zadbać.



„Szarości” powojennego podziemia

Instrumentalizacja mitu Żołnierzy Wyklętych w połączeniu z wysoką temperaturą sporu politycznego sprawiają, że także w ocenach powojennego podziemia coraz częściej dajemy się zwieść fałszywym dychotomiom. Odpowiedzią na retorykę znajdującego się od lat w ofensywie nurtu jednoznacznie afirmatywnego staje się przechodzenie w drugą skrajność. Jak szkodliwe i nieadekwatne do złożonej rzeczywistości są to postawy, znakomicie pokazują dwie głośne akcje z lata 1945 roku. Za jedną i drugą, odpowiednio – pacyfikacją wsi oraz rozbiciem ubeckiego więzienia, stał „znany w okolicy »Szary«”.

Czerwiec roku 1945. Polskę od tygodni przemierzają niekończące się kolumny tych, którym się udało – wracających. Uruchamiane są zakłady, szkoły i instytucje. Miesiąc temu „Tysiącletnia – teraz podkreśla się to ze szczególną satysfakcją – Rzesza” definitywnie legła w gruzach. Ostatnio radio podało, że w amerykańskiej strefie okupacyjnej schwytany został gauleiter Greiser – krwawy namiestnik Kraju Warty, „ucieleśnienie teutońskiej buty”. Ale to tylko część rzeczywistości.

Wbrew manifestacyjnym zapewnieniom komunistycznych władz nie każdy może powrócić do normalnego życia. Powszechna staje się wiedza o prześladowaniach wielu spośród tych, którzy po latach walki z Niemcami zdecydowali się wyjść z podziemia – o aresztowaniach i niewyjaśnionych zniknięciach ludzi niepodległościowej konspiracji, o kolejnych transportach zmierzających na Wschód, o podstępnych uwięzieniu przywódców Polski Podziemnej. Pod koniec maja zmobilizowany doraźnie oddział poakowski ppor. Edwarda Wasilewskiego „Wichury” rozbił okryty złą sławą obóz NKWD w Rembertowie. Ale podobnych miejsc są dziesiątki. „Dla nas wojna jeszcze nie skończona...” – konstatuje gorzko konspiracyjna „Myśl Niezależna”.

Tragizm położenia zagrożonych łagodzi przekonanie o tymczasowości nowego porządku. Sytuacja polityczna wciąż jest niejasna, co rusz pojawiają się przesłanki interpretowane jako zapowiedź nadchodzącego kresu „lubelskiej rzeczywistości”. Niektórzy wiążą ją z Mikołajczykiem i „ugodowcami”, inni czekają na kolejną wojnę – tę samą, którą rządowa propaganda straszy zmęczone społeczeństwo.

To właśnie przekonanie, obok wynikającego z prześladowań lęku przed podzieleniem losu licznych poprzedników, wielu nakazuje trwać w lesie. Dlatego dość ograniczone pozostają skutki apeli, takich jak ten z 17 maja, w którym przedstawiciele „parlamentu” Polski Podziemnej – Rady Jedności Narodowej oraz Delegat Rządu na Kraj Stefan Korboński, wspólnie wzywali: „Nie dajcie się sprowokować do zbrojnej walki. Nie może ona obecnie przynieść żadnej korzyści celom, do których zmierzamy [...]”. Wzywamy młodzież, która przed masowymi prześladowaniami i aresztami schroniła się do lasu, by starała się wrócić do normalnego życia i produktywnej pracy tam, gdzie może. Pobyt Wasz w lesie stał się już pretekstem do głośnych pacyfikacji. Czekasz z gębą, a Waszym głównym przeznaczeniem jest żyć i pracować dla Ojczyzny, a nie ginąć bez żadnej dla niej korzyści”.

Dalekie od oczekiwań są również skutki analogicznych nawoływań dowództwa poakowskiej Delegatury Sił Zbrojnych (DSZ). „Powszechna wola oporu przeciw sowiecko-lubelskiej rzeczywistości przeradza się wśród byłej AK i związanych z nią kół w opór przeciw rozwiązaniu szeregów. Ma to charakter żywiołowo-społeczny, zwłaszcza na wsi lubelskiej i białostockiej, i przeradza się w szeroką samobronę, którą bierzemy pod wpływ i kierunek” – depeszuje do Londynu Delegat Sił Zbrojnych płk Jan Rzepecki, „Prezes”.

W takich okolicznościach, w połowie miesiąca, na podziemie spada propagandowy cios. Pierwsze strony wydawanej w ogromnych nakładach kontrolowanej przez komunistów prasy zalewa dotąd nikomu nic nie mówią-

ca nazwa – Wierchowiny. Organom centralnym wtórują liczne wydawnictwa lokalne. Potępiani są nie tylko „oenerowscy zbrodniarze z NSZ”, niektóre tytuły „biją” szerzej. Wzywają do porzucenia złudzeń wobec „wszystkich reakcyjnych morderców”, zapowiadają konieczność „wytepienia w zarodku faszystowskich band”. „Dość już krwi!” – woła nagłówek na swojej pierwszej stronie „Rzeczpospolita”, której redakcja demonstracyjnie wyrzuca ogół „polskich faszystów” poza nawias narodu.

Potępiające doniesienia świadomie pomijają ukraińską narodowość ofiar mordu dokonanego w niewielkiej miejscowości powiatu krasnostawskiego. Ograniczają się do sugestii, że zginęli enigmatyczni „polscy demokraci”, „uczciwi zwolennicy nowej Polski”. Świeżo po zbrodni wołyńskiej takie postawienie sprawy daje lepsze perspektywy optymalnego wyzyskania sytuacji. Nie to jest jednak najważniejsze. Kluczowy jest fakt, że Wierchowiny, abstrahując od perfidnego tonu wspomnianej prasy, nie są tylko kolejnym wymysłem komunistycznej propagandy.

Barwy ciemne: Wierchowiny

6 czerwca 1945 r. przed południem w niewielkiej miejscowości pojawił się ponad 200-osobowy, solidnie wyekwipowany i uzbrojony oddział pozorujący jedną z wielu wracających w tym czasie z frontu jednostek ludowego Wojska Polskiego. Wkraczając do wsi kolumnę przyjęto dobrze. Znani w okolicy z pozytywnego stosunku do nowej rzeczywistości mieszkańcy byli przekonani, że witają swoich.

W rzeczywistości mieli do czynienia ze zgrupowaniem Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), dowodzoną przez kpt. Mieczysława Pazderskiego „Szarego”. Podległe mu oddziały rozpoczynały właśnie demonstrację siły, która obliczona miała być z jednej strony na wzmocnienie konfrontacyjnych nastrojów polskiej ludności, z drugiej – na swoistą „reklamę NSZ” w trwającej od dłuższego czasu rywalizacji o wpływy ze strukturami poakowskiej Delegatury. Nie bez znaczenia pozostawał wreszcie zamiar stordowania polsko-ukraińskich pertraktacji, podjętych przez jej lokalnych dowódców. W przeciwieństwie do konkurencji narodowcy nie byli bowiem zainteresowani wygaszaniem tragicznego sporu. W okresie trzech poprzedzających krytyczną akcję miesięcy z rąk oddziałów składających się na zgrupowanie „Szarego” śmierć poniosło co najmniej 80 osób narodowości ukraińskiej. Wśród nich Bazyli Martysz – niegdyś siejszy naczelny kapelan prawosławny Wojska Polskiego.

Co ciekawe, akcja w Wierchowinach pierwotnie miała zostać uzgodniona z komórkami poakowskiej DSZ. Na ponad dwa tygodnie przed feralnym dniem – jak relacjonował jeden z oficerów Delegatury – podczas wspólnej odprawy lokalni dowódcy obu organizacji sporządzili listę kilkuset mieszkańców – głównie, choć nie tylko, Ukraińców – problematycznej miejscowości, stwarzających swoim zaangażowaniem po stronie komunistów szczególnie zagrożenie dla podziemia. Pierwotnie zginąć mieli właśnie oni.

W międzyczasie jednak okoliczności uległy diametralnej zmianie – między lubelską DSZ a lokalnymi strukturami Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) zawarty został rozejm, którego priorytetowym celem miało być zakończenie wzajemnych wystąpień przeciwko ludności cywilnej. Narodowcy, zajmujący wobec „problemu ukraińskiego” stanowisko nieprzejednane, nie zamierzali go respektować. Co więcej, pod koniec maja zwołali jeszcze jedną odprawę, podczas której powzięte wspólnie z przedstawicielami DSZ ustalenia dotyczące Wierzychowin najprawdopodobniej poddane zostały rewizji.

To, co nastąpiło 6 czerwca 1945 r., przez lata budziło liczne kontrowersje i spektakularne domysły. W wyniku przeprowadzonej przez zgrupowanie „Szarego” pacyfikacji śmierć poniosło ponad 190 mieszkańców (w tym kobiety i dzieci) – zdecydowana większość obecnych we wsi prawosławnych oraz Świadków Jehowy. Niektórzy badacze przekonują, że oddział NSZ zlikwidował tylko część mieszkańców, głównie tych gorliwie wspierających komunistyczne władze, zaś odpowiedzialnością za pozostałe z górą sto ofiar obciążają niezidentyfikowaną grupę prowokacyjną, mającą wkroczyć do Wierzychowin tuż po opuszczeniu ich przez zgrupowanie „Szarego”. Dokonana zbrodnia miałaby być cyniczną grą obliczoną na kompromitację NSZ.

Alternatywne wersje, niekiedy kwestionujące odpowiedzialność narodowców, innym razem – rzeczywistą skalę mordu (podnoszony jest tu problem braku ekshumacji), co jakiś czas powracają. Już jednak w czerwcu 1945 r. rolę zgrupowania potwierdzała otwarcie prasa podziemia narodowego. „Do Wierzychowin nie tylko się przyznajemy, ale zapowiadamy niejedno Psie Pole hajdamacczynny. To jest odpowiedź na zabużańskie mordy dokonywane na bezbronnej Polskiej [oryg.] ludności” – obwieścili redaktorzy „Szczerbca”, pisma lubelskich struktur NSZ, wieszcząc dalsze wystąpienia przeciw „hajdamacczynnie” i „żydokomunie”. Sprawstwo narodowców – czego badacze dotąd nie dostrzegli – jeszcze szybciej przyznał centralny organ Stronnictwa Narodowego (SN) „Walka”. „Wierzychowiny [wezwania do wyniesienia się za Bug] nie usłuchały, na odwrót – zaopatrzone w broń przez NKWD zaczęły się odgrażać. Wówczas to oddział NSZ, kładąc kres ich wrogiej robocie i zarazem ucinając u podstaw kłamliwe wieści o »konszachtach« obozu narodowego z ukraińcami [oryg.], mieszkańców wsi Wierzychowiny zlikwidował” – stwierdzano. Przywołując przy tym „sceny najdzikszych bestialstw”, jakim poddawana była ludność polska na Wołyniu, pismo dodawało: „Podkreślamy, że w Wierzychowinach tego nie było”. Co ciekawe, gdy narodowcy przyznawali się do odpowiedzialności, inne nurty konspiracji zaprzeczały winie podziemia. Tragedię przedstawiały jako prowokację komunistyczną bądź wyczyn „dzikiej bandy”.

Wracając jednak do deklaracji „Szczerbca”, kolejnych Psich Pól miało nie być. Gdy na łamach pisma ukazała się niniejsza zapowiedź, zgrupowanie „Szarego” już nie istniało. Uchodząc przed pościgiem, w nocy z 7 na 8 czerwca dotarło ono z licznymi taborami – charakterystyczne, że zdobycze ze spacyfikowanej wsi transportowało kilkadziesiąt wozów! – do oddalonej od Wierzychowin zaledwie o 20 km wioski Huta. Tam zarządzono postój, podczas którego zorganizowano zabawę. Mimo nalegań mieszkańców oraz ostrzeżeń o nadciągającej obławie napływających od lokalnych komórek poakowskich pobyt we wsi przedłużał się. 10 czerwca rano nastąpiło uderzenie. Zgrupowanie NSZ, kompletnie nieprzygotowane do podjęcia walki z grupą pościgową NKWD-UB, zostało niemal doszczętnie rozbite. Sam do-

wódca zginął, próbując organizować późniejszy odwrót. Spalona została też znaczna część zabudowań.

Kończąc wątek wierzychowińskiej tragedii, należy dodać, że zdaniem historyków nie bez znaczenia dla przebiegu wydarzeń, oprócz względów polityczno-narodowościowych, mogły pozostawać motywy osobiste. Prawdopodobnie około trzecią część zgrupowania „Szarego” stanowili byli żołnierze dawnej 27. Wołyńskiej Dywizji AK, których znaczna część straciła bliskich w wyniku antypolskich akcji UPA. Niewykluczone, że także sam „Szary”, we wrześniu 1939 r. kwatrujący w tych okolicach jako oficer rezerwy Wojska Polskiego doświadczył wrogości ze strony okolicznej ludności ukraińskiej.

Rozgrywana przez komunistów propagandowo jeszcze długi czas sprawa Wierzychowin poważnie naruszyła etos niepodległościowego podziemia. O krzywdzie, jaką przyniosła nie tylko narodowcom, najlepiej świadczy fakt, że jeszcze rok po tragedii w oficjalnej instrukcji referendalnej [mowa o referendum z 30 czerwca 1946 r. – red.] największej organizacji antykomunistycznej – poakowskiego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, zastrzegano: „To nie my dokonujemy mordów politycznych, samosądów i prowokacyjnych napadów rabunkowych, nie my przeprowadzamy »pacyfikacje«. Nasz dorobek to Kutschera, Hahn, Celestynów i Długa [chodzi o głośne akcje AK; Hahn znalazł się tu zapewne przez pomyłkę, ponadto mowa o likwidacji generała SS Franza Kutschery, odbiciu więźniów z transportu do KL Auschwitz oraz legendarnej akcji pod Arsenałem – red.] – ale nie Wierzychowiny, nie Puławę i Grójec”.

Znacznie mniej gorliwie oficjalna prasa donosiła o przeprowadzonej kilka tygodni później akcji innego „Szarego” – kpt. Antoniego Hedy działającego w ramach poakowskiej DSZ.

Barwy jasne: Kielce

W nocy z 4 na 5 sierpnia 1945 r. zmobilizowany doraźnie blisko 200-osobowy oddział poakowski pod wodzą „Szarego”, przez nikogo nie niepokojony wjechał zarekwirowanymi uprzednio samochodami do samego centrum Kielc. W pierwszej kolejności żołnierze zabezpieczyli kluczowe kierunki, z których spodziewano się ewentualnych problemów. Następnie, około północy, grupa uderzeniowa z samym Hedą w składzie przystąpiła do ataku na osławione więzienie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP).

Co ciekawe, w obliczu wkroczenia Sowietów „Szary”, jeden z bardziej – obok „Ponurego”, „Nurta” czy „Huragana” – znanych dowódców partyzanckich AK operujących na

tych terenach, nie zdecydował się na powrót do lasu. Po pierwszych kontaktach z nowymi władzami – akowiec stawiał się nawet na rozmowę z szefem radomskiego UB; krótko po niej został aresztowany, ale też dość szybko zwolniony przez NKWD – zapobiegawczo opuścił rodzinne strony i zamieszkał pod Łodzią. Pozostając w kontakcie ze swoimi byłymi żołnierzami, z których część nadal trwała w podziemiu, czekał na dalszy rozwój wypadków.

Sytuacja uległa zmianie późną wiosną, gdy napłynęły wieści o fali aresztowań akowców, jaka przeszła przez Kielecczynę. W rękach UB znaleźli się m. in. czołowi oficerowie świętokrzyskich struktur AK, a zarazem zwierzchnicy „Szarego” z okresu akcji „Burza” – dowodzący 2. Dywizją Piechoty AK płk Antoni Żółkiewski, „Lin”, oraz jej szef sztabu, mjr Michał Mandziara, „Siwy”. Na determinację partyzanta istotnie wpływać musiał także fakt, że kilka tygodni wcześniej kielecka bezpieka aresztowała jego braci. Według składanych po latach zeznań – o zamordowaniu dwóch z nich dowiódł się na godziny przed akcją.

Atak na znajdujący się w sercu wojewódzkiego miasta obiekt nie był dla „Szarego” debiutem. Rok wcześniej, w czerwcu 1944 r., wraz ze swoim oddziałem rozbił – uwalniając blisko 60 osób – niemieckie więzienie w Końskich. Wówczas poległo czterech jego żołnierzy. Tym razem, mimo przedłużania się „roboty” (atakujący nie zdobyli ukrytych przez załogę kluczy, kolejne drzwi trzeba więc było wysadzać bądź wyważać!) zginął tylko jeden z nich. Drugi, ranny, dostał się w ręce komunistów. Wolność w wyniku brawurowej, zupełnie niespodziewanej akcji, odzyskało blisko 350 osób.

Nazajutrz, gdy stolicę wizytowali marszałkowie ZSRR Żukow i Rokossowski, z kieleckiego Urzędu Bezpieczeństwa do Warszawy spłynął raport. Kielce donosiły: „Pierwsza część reakcjonistów [sic!] wdarła się przez bramę rozbitą dynamitem i wysadzała drzwi, naprzód na oddziale trzecim, a później na oddziałach drugim, pierwszym, czwartym, piątym (oddział kobiecy). Następnie wysadzając dynamitem kraty, na oddziałach dobijali się do cel, zaś drzwi w celach wysadzali dynamitem i łupkami drzewa. [...] Razem cel było 56, w czym pozostały 4 cele, z reszty cel zostali więźniowie rozpuszczeni i zabrali ich ze sobą reakjniści. Walka pomiędzy reakcjonistami a obsługą więzienia trwała 1 godzinę 30 minut. Po uchwyceniu jednego bandyty, który brał udział w napadzie, w toku śledztwa zeznał, że banda była pod dowództwem »Szarego«”.

Wśród uwolnionych przez „reakcjonistów” Hedy, obok wspomnianych już oficerów kieleckiego podziemia – w trakcie odwrotu zmarł poważnie chory na serce, wy-

cerpany warunkami więziennymi płk „Lin” – znaleźli się także m.in. ppor. cichociemny Ludwik Wiechuła „Jeleń” oraz były hubalczyk, głośny dowódca partyzancki NSZ, a następnie AK kpt. Józef Wyrwa „Stary”. Po udanej ewakuacji w okoliczne lasy zorganizowany naprędce oddział został rozwiązany. Część uczestników brawurowej akcji powróciła do domów, ci, którzy na koncentrację przybyli jako „leśni”, ruszyli w swoje rejony. Sam Heda, poważnie ranny w kolano, miał przed sobą kilka tygodni „melinowania” w okolicznych miejscowościach.

Miesiąc później wyczyn „Szarego” – tym razem w Radomiu, we współpracy z lokalnym oddziałem Narodowego Związku Zbrojnego – powtórzył inny uczestnik kieleckiego wypadu, por. Stefan Bembiński „Harnaś”. Charakterystyczne, że przed radomską akcją zwierzchnik „Harnasia” w strukturach DSZ, ppłk Zygmunt Żywocki, „Wujek”, wydał oficerowi polecenie: „Oszczędzać w walce życie, nie tylko własnych żołnierzy, ale także przeciwnika. [...] Zadaniem jest zdobyć więzienie i uwolnić więźniów”.

Tych akcji – a w latach 1945-1946 było ich znacznie więcej – na pierwszych stronach partyjnych gazet nie eksponowano. Czasem donosiło o nich podziemie. W radomskiej „Walce o Wolność”, piśmie poakowskiej Delegatury, dwa tygodnie po sukcesie „Szarego” zamieszczono – być może fikcyjną, być może tylko inspirowaną; niewątpliwie jednak przejmującą i oddającą nastroje więźniów – relację jednej z uwolnionych kobiet. „Najgorsze były wieczory. Myśli spać nie dają. Tęsknota chwytła za serce. Te przekłete kraty. Aż 4-go o godz. 3 huk »gamonów« [typ granatu – red], grzechot salw i okrzyk: »Niech żyje Polska«. Szybko mówimy »pod Twoją obronę« za tych co idą i ubieramy się jak która może. Potem – tupot ich kroków i huk wysadzanych drzwi zwiastujący Wolność – w sekundzie cele są puste. A my nareszcie wolni. Wszystkim, którzy się do tego przyczynili, za ofiarność, poświęcenie i odwagę Cześć. »Nowada«”.

Sam „Szary” w podziemiu pozostać miał jeszcze kilka miesięcy. Jesienią 1945 r. ostro wystąpił przeciw głośnej akcji płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława”, który po aresztowaniu i uzyskaniu od władz odpowiednich gwarancji dla ujawniających się akowców zgodził się stanąć na czele specjalnej Komisji Likwidacyjnej, mającej „rozwiązać problem AK”. W pierwszych tygodniach nowego roku, czując się „spalonym” i chyba nie widząc perspektyw dalszej konspiracji, Heda wyjechał na Wybrzeże, by ostatecznie, wraz z żoną i małutką córką, trafić na Mazury – docelowo punkt wielu szukających miejsca w nowej rzeczywistości „żołnierzy przegranej sprawy”. W 1948 r. na gdyńskim dworcu wpadł w ręce bezpieki. Został skazany na karę śmierci, wyroku jednak nie wykonano. Istotną rolę odegrać miała tu interwencja byłych oficerów Armii Ludowej, którzy zwrócili uwagę na osiągnięcia „Szarego” w walce z Niemcami. Wyszedł, jak wielu akowców, na fali odwilży w 1956 r.

* * *

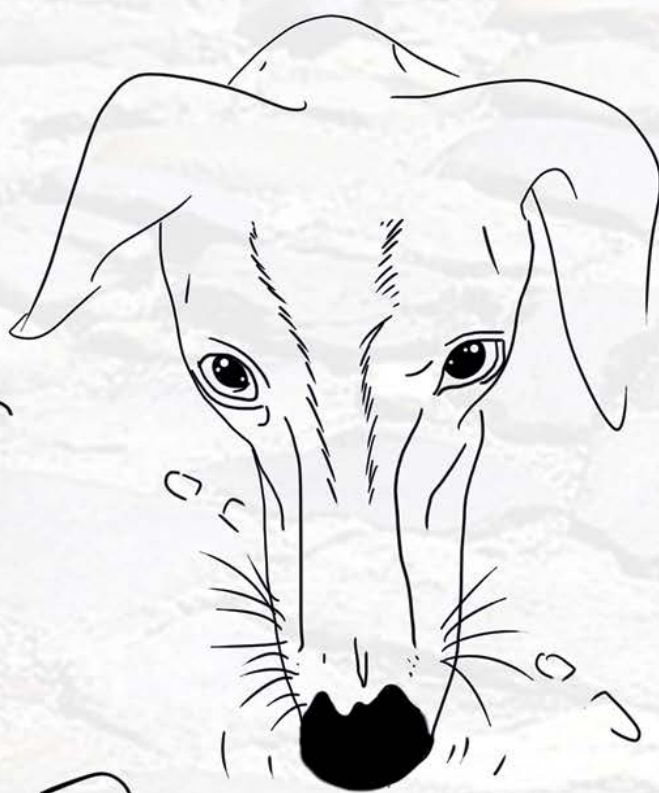
Rozsądna i uczciwa opowieść o antykomunistycznym podziemiu musi uwzględnić oba przywołane tu epizody „pierwszego lata pokoju”. W przeciwnym razie otrzymać możemy obraz nawet bardzo efektowny, ale w gruncie rzeczy mniej ciekawy – na dłuższą metę szkodliwy i niedający możliwości pełnego zrozumienia tragicznego czasu, o którym tyle dziś mówimy.

TEKST: BARTEK WÓJCIK
ILUSTRACJA: DOMINIKA HOYLE

Tekst pierwotnie ukazał się na portalu Klubjagielloński.pl.

Wśród
uwolnionych przez
„reakcjonistów” Hedy, obok
oficerów kieleckiego podziemia, znaleźli
się także m.in. ppor. cichociemny Ludwik
Wiechuła „Jeleń” oraz były hubalczyk, głośny
dowódca partyzancki NSZ, a następnie AK kpt. Józef
Wyrwa „Stary”. Po udanej ewakuacji w okoliczne lasy
zorganizowany naprędce oddział został rozwiązany.
Część uczestników brawurowej akcji powróciła
do domów, ci, którzy na koncentrację przybyli
jako „leśni”, ruszyli w swoje rejony.

**Czytając
Korrespondenta...**



...nie jesteś śledzony.

*Korrespondent
Warszawski*

